Kazimierz Burzyński.

TAHIR BEJ.

POWIEŚĆ ZE WSPOMNIEŃ ŻYCIA OBOZOWEGO.

Tom I.

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.

1886.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 9-го Января 1886 года.

Druk „WIEKU“, Nowy-Świat Nr. 61.

Rotmistrzowi Bohdanowi Jaroszewskiemu,
Towarzyszowi broni.

Tobie, mój dobry przyjacielu, poświęcam tę pracę, to wspomnienie lat młodości przebytych razem. Tobie, z którym łączą mnie węzły marzeń wspólnych, wspólnej pracy, biedy i niebezpieczeństw. Poświęcam ją na pamiątkę dni chmurnych i nocy bezsennych, spędzonych pod obcem niebem, na pamiątkę wspólnej tęsknoty i łzy, ostatniej może!

W życiu przychodzi chwila taka, w której wesołe i bolesne dzieje, własne i tych z którymi się żyło, dzień po dniu w pamięci się odtwarzają, i snują się jak nić bez końca, minionej przeszłości. I zda się czasem, że to co się przeżyło było tylko snem lub widziadłem. I uwierzyłoby się w to może, gdyby ból lub tęsknota, odradzające się w nas i dziś jeszcze niekiedy, nie przekonały o prawdzie.

W dziwnem życiu któreśmy przebyli pospołu, przed nami... ciemno—za nami... sterczy, jak drogowskaz, wielki cmentarz z rozsianych kości ludzkich, a ponad tą olbrzymią mogiłą unosi się mgła uwita z łez i westchnień, z cierpień wyśmianych, z marzeń niedoszłych, ze skarbów duszy i serca, marnotrawną ręką roztrwonionych po drodze!

Ludzie, potężni duchem, są jak kolumny tych olbrzymich ruin azyatyackich, któreśmy oglądali pospołu: słabsi upadną, silni zostają. A gdy wicher zagłady zniszczy to co zniszczonem być może, to już potem nie szukać dzieł ręki, ni rzeźby misternej; ni ozdób, ni kwiatów — zostają już tylko posągi z jednej wyciosane bryły, czekające bez trwogi i wzruszeń, aż i one runą!

Do czytelnika.

Rzucam w świat powieść, wysnutą z chwil dni smutnych, o których dzieje nic jeszcze stanowczego wyrzec nie mogły. Ani społecznej, ani filozoficznej strony tych przejść nie dotknąłem— lecz, że na tem tle posępnem życie me rozwijać się zaczęło, z niego więc czerpię opowiadanie niniejsze.

Tendencyjnej powieści nie piszę—opowiadam tylko żywoty ludzi tak, jak one rozwijały się, i jak się często rozwijają, nie w zaciszu domowem, na ciężkiej ale spokojnej glebie, lecz jak się pełnią u tych, którym Opatrzność inne nakreśliła drogi. Jeżeli zestawienie faktów i wywód z onych, który czytelnik sam sobie przedstawi, do tej lub innej kategoryi tendencyi zaliczyć zechce—szczęść mu Boże! ja, piszę co czuję lub opowiadam to co widziałem.

Dziwna rzecz! Od lat kilku wróciwszy do

zwykłej kolei życia, słyszę niejednokrotnie wypowiadane zdanie: „to poezya, to romans, to powieść; to tylko tak w książkach wygląda!“—Prawda, że po tych spokojnych kilku latach i mnie się czasem na chwilkę tak zdaje — A jednak! Rzeczywistość którą ludzie przechodzą gdy życie wykolejone rzuci ich w sieć niepowodzeń lub pomyślności, intryg, zawiści lub poświęceń—życie takie, nieraz o wiele przejdzie to co się w romansach drukowanych spotyka.

I.

Był to rok smutny i ciężki!

Ponad Warszawą chmury przeciągały gęste; zima bezśnieżna, wilgotna, przerywała ostatnią miejską uciechę — szlichtady nawet nie było. Warszawa inną niż zwykle miała fizyognomię— ludzie przechodzący po mieście ujawniali jakby jakiś pośpiech gorączkowy; przed magazynami gapiów mało; teatr bez widzów, bale bez tańców.

Cicho było—lecz w ciszy tej czuć się dawało jakieś drganie drobne, suche, męczące. A nie była ona uroczą ciszą siły i spokoju, podczas której ciało spoczywa i duch się krzepi—był to niby blask rozdmuchanego pożaru, nie zaś światło silne a spokojne.

W kawiarni Clotin'a, przy zbiegu Krak.-Przedmieścia z Kozią, w dolnej sali, dwóch młodych ludzi piło kawę. Pierwszy, starszy nieco, mógł mieć lat dwadzieścia cztery lub pięć mo-

że; drugi zaledwie osiemnaście. Starszy, z ciemnym wąsikiem, czarnemi oczami i wyniosłem czołem, słuszny, zgrabny, nosił na sobie cechę energii, rzutkości i szlachetnych porywów—młodszy zaś, choć nie tak pięknie wyglądał, pociągał ku sobie szczerością wyrazu, jakiemś głębokiem, ponad wiek poważnem spojrzeniem. Tylko usta niekiedy drgały mu ironicznie.

Dopijali kawę.

— A więc, Antosiu,—zagadnął młodszy — idziesz do twej panny?

— Idę; lecz i ty pójdziesz zemną.

— Dobrze—odrzekł zawezwany i wyszli obadwaj z cukierni.

Antoni Czujski, syn możnego obywatela z Królestwa, uposażony od Boga i od ludzi, bogaty, zdrów i zdolny, kończył był właśnie wtedy Szkołę Główną, a zaczynał najgłówniejszą: kochał i był kochanym.

Towarzysz jego a razem brat cioteczny, Adam Szufla, litwin zacięty, ani się kochał, ani był kochanym. Nie miał on na to czasu, uczył się i marzył—jedno i drugie wiele godzin zabiera...

Szli przez Krakowskie-Przedmieście, zdążając na Nowy Świat.

— No, cóż?—rzekł nagle Adam.—Co z tobą będzie?

— Co?—odparł zagadniony—ożenię się, i...

— I co?

— Ha! będzie co Bóg da...

Młody litwin uśmiechnął się.

— Rób jak chcesz; u nas inaczej to idzie!

— Tu, jesteś bardzo rezolutny, mój Adasiu— rzekł śmiejąc się Antoni—lecz nim wejdziem do Naci, już na schodach stracisz ten kuraż i całą butę. Cóż mówić o mnie? Wy wszyscy kapitulujecie przed Nacią — a cóż dopiero ja, który za kilka miesięcy będę jej mężem? Będę—powtórzył głucho, i chmura czarnych myśli przemknęła po czole, głowę opuścił na piersi; rozmowa przerwała się i obadwa mknęli szybkim krokiem ku domowi Naci.

— Błoto,—spokojnie bąknął Adam.—Hola! dryndziarz!

Dorożka podjechała.

— Na Marszałkowską!—zawołał Czujski, skoro wsiedli.

Na Marszałkowskiej ulicy, na 1-em piętrze, w domu którego numeru nie pamiętam, było mieszkanie obszerne, wytworne a w tej chwili oświetlone rzęsiście. Należało ono do państwa Griczów, rodziców narzeczonej Czujskiego.

P. Gricz ojciec, lat podeszłych, człek silnej tuszy i silnych kapitałów, wywodził się z rodziny znanej na Podlasiu. Matka Gricz, z domu Pekowicz-Adeta, była rodem ze słowian południo-

wych; należała ona do jednej z tych rodzin, które opuściwszy kraj zbyt patryarchalnie rządzony przez tureckich baszów, szukały gościnności w Rosyi. Była ona niby księżniczką, a co już pewna, była bogatą, bo ojciec jej w Odessie gdzie osiadł, rzucił się do handlu. Handel szedł mu wyśmienicie, kapitały rosły, tytuł zdawał się konsolidować z kapitałami. Tam to, młody Gricz poznał i zaślubił dziedziczkę rodu Pekowicz-Adeta i z tego związku przyszła na świat panna Natalia—inaczej Nacia Gricz, która, w chwili gdy się ta opowieść zaczyna, oddawała swe serce i swoją rękę szczęśliwemu Antoniemu Czujskiemu.

Oto jest wierny i krótki protokół, zkąd i jak wzięła się Nacia Gricz, cudowna Nacia!

Południowa natura Pekowicz-Adetów i sarmacka krew Griczów, wydały cudo, o ciemnych oczach, czarnych jak heban brwiach i wiśniowych czarujących ustach—słowem, wysmukłą polską dziewoję, ze smętną zadumą w pałającym wzroku. A przed tym wzrokiem nikt się nie ostał—było w nim coś, niby głęb' morza, niby przepaść bezdenna, co razem wabi i straszy—i dociec trudno co tam znajdziesz na dnie? śmierć, czy skarby, bo jedno i drugie w sobie zawiera.

Nasi znajomi weszli do dużego, pięknie umeblowanego salonu, gdzie już osób znajdowało się sporo. Najpierw mama i papa Gricz—papa siwy,

dobry, opasły szlachcic; mama wyglądała ciekawiej. Średniego wzrostu, z siwemi włosami, z oczami czarnemi jak węgle, takiemiż brwiami i świeżą jeszcze cerą, miała w całej swej postaci jakąś dziwną sprzeczność: żywości z lenistwem, chytrości z prostodusznością—słowem była ona niezwyczajnym typem. Oczy co innego mówiły niż usta; oczy spokojne, łagodne choć żywe, usta zaś na dół zagięte, wązkie, cienkie, nie nader miłe czyniły wrażenie. Dalej, siedział stary Czujski i kilka innych, znanych mniej więcej osobistości, ksiądz kapucyn wysokiego wzrostu z szeroką, otwartą twarzą a obok młody człowiek o ruchach wojskowych i rysach twarzy krótkich, zwięzłych, energicznych.

Nacia, poczciwa Nacia, wybiegłaby była pewnie daleko naprzeciw narzeczonego, gdyby nie formy towarzyskie—wybiegła więc o tyle tylko o ile się godzi dobrze wychowanej pannie. Coś sobie powiedzieli oczami przy spotkaniu, to coś, wiecznie znane, a jednak ciekawe i komentowane zawsze.

Było to w końcu stycznia. Na przewody miał być ślub—wieczór przeszedł szybko i bezpowrotnie; tematów do rozmowy nie brakło.

Nacia i dwaj nasi przyjaciele siedzieli na uboczu — zabierano się do wyjścia.

— Panie Adamie! — ozwała się młoda pan-

na — ja za dni kilka wyjeżdżam z matką do stryja na wieś, na parę tygodni—proszę wziąść urlop i tam nas odwiedzić wraz z Antonim. To niedaleko z szosy brzeskiej na lewo.

— Dziękuję pani za łaskawe zaprószenie— ale czy będą mógł zeń korzystać—jeszcze nie wiem...

— Trzeba koniecznie—przerwała Nacia—bo na przewody pan już do siebie nie należy. Czyliżby mój drużba zrzekał się swojej roli?

Adam uśmiechnął się i skłonił głowę.

Sześć tygodni upłynęło szybko.

Czytelniku! czyś widział kiedy bitwę? Białe dymki wznoszą się w dali; jakiś świst czuć koło uszu, a później, znów białe dymki coraz gęstsze, aż w jeden zleją się tuman; świst także w chór się zlewa—z boku trąbka grzmi raźnie i okrzyk: naprzód! i chrzęst broni i jęk konających. Aż raptem, ryknie cała kapela, a w ryku tym niesłychać już ni chrzęstu, ni świstu, ni jęku tylko coś ciepłego bryzgnie w oczy i dalej i dalej.... Lecz, niewiadomo dla czego huk słabnie, siły opadają, ale za to świst kul staje się wyraźniejszy, jęk rannych rozchodzi się w gammy chromatyczne coraz rzadziej—a potem, od czasu do czasu, słychać co raz rzadsze strzały pożegnania.

Zamilkło—cisza dokoła. Ludzie zrobili swoje — lecz to nie wszystko. Jest coś straszniejszego nad bitwę najkrwawszą—to pobojowisko!

W boju, wre życie, szał jakiś—zwierzę się rozkiełznało i hula krwawo; w boju, ludzie zwyczajni duchem, tracą poczucie tego co czynią: po nad dziełem brutalnego zniszczenia, zaledwie kilka wyższych unosi się umysłów, ze wstrętem patrząc na ostatnie słowo zwierzęcej siły. Lecz gdy bój się już kończy i noc zapada, kto wtedy jechał przez ten cmentarz bez grobów, obraz jaki ma przed sobą utkwi mu w pamięci na długo.

Cisza zalega, śmierć już przeszła — widzi się gromady tych co przed chwilą żyli, teraz leżących z twarzą zeszpeconą, z oczami otwartemi, z ostatniem piętnem męczarni na skrzywionych ustach; widzi się zawsze słabszych, tych co ulegli, bo takie prawo, bo tak być musi! Oczy z których przed chwilą ogień strzelał, zawarły się na wieki lub połyskują bielmem matowem, trupiem; czaszki w których myśl wrzała, teraz leżą zimne, niepotrzebne—głupiec obok rozumnego, zły obok dobrego, wróg obok wroga. A o nich wszystkich jak o cyfrach, po dokonanym rachunku, ludzie zapomną, prędzej czy później nieco, Aż nagle, w obrazie tym ukazuje się jego plan ostatni: ogień błyśnie na biwaku i pieśń hulaszcza z ust rwie

się krwawych. To już koniec dramatu, na dzisiaj,—jutro—rozpocznie się drugi.

II.

Z Warszawy do Brześcia jeździło się wówczas jeszcze dyliżansem. Na szosie był most zerwany, który się objeżdżało do koła—w pobliżu wsi Woskrzynicy. Zresztą, może mnie pamięć myli...

Noc zaszła, śnieg stopniał na polu i na drodze; zmokłe od mgły i słoty drzewa i krzaki pozwisały gałęzie, aż liść przyległ do ziemi. W powietrzu, wilgotno, zimno, wietrzno.. Po szarem niebie gromady chmur ciemnych pomykały szybko.

Przez krzaki dwóch ludzi przesuwało się ostrożnie, nadstawiając uszu i, od czasu do czasu zatrzymując się. Za niemi pozostał most zerwany i parów z zaroślami, na których światełko wysuwającego się niekiedy z po za chmur księżyca odkrywało jakieś niewyraźne postacie czy przedmioty.

Były to szczątki rozbitego obozu....

Dwaj podróżni zatrzymali się tu na chwilę.

— Czy znasz drogę? — zapytał niższy wzrostem.

— Trochę—odparł drugi—ale już w tej chwi-

li nie wiem gdzie północ, południe, wschód i zachód?

Uśmiechnął się pierwszy i rzekł ironicznie:

— Busoli zawsze ci brakło, mój drogi Antosiu!

— Adamie, przestań żartować! Nie pora po temu.

Po tych imionach poznajemy dwóch naszych znajomych, Adama Szuflę i Antoniego Czujskiego.

— A, no—rzekł Szufla—słowa dotrzymać należy; będziemy dziś jeszcze u Naci.

Antoni uśmiechnął się gorzko. Coś niby płacz powściągany, czy żal gorzki, ścisnęło mu gardło —otworzył oczy duże, rozpaczliwe, a schwyciwszy towarzysza za rękę, zawołał:

— Adasiu! mój Adasiu!

— No i cóż?—rzekł Adam — wśród róż napotkaliśmy ciernie—kolą!

— Bolą!—odparł Antoni.

Szufla objął Antoniego i uścisnął go serdecznie.

— Cicho! cicho!—wyszeptał.—W ręce Boże! — Potem zawahał się przez chwilę i rzekł znów, z odzyskanym animuszem: — No, pokazuj drogę, mazgaju!

Antoni ocknął się. Wkrótce też wpadli na małą ścieżkę i ruszyli nią szybko.

Antoni szedł przodem, za nim Adam. Po godzinie takiego pochodu w ciemności natknęli się na jakiś duży dziedziniec; otaczał go mur szero-

kim opasany rowem. Biała brama i furtka, były zamknięte. Za bramą widniał dom biały, długi, z dwoma rzędami kolumn przy ganku — z lewej strony widniała mała oficynka. Reszta budynków zacieniona klombami, staremi drzewami i jakąś aleją osadzoną krzewami bzów i jaśminów.

Antoni zatrzymał się.

— Tędy nie dobrze—rzekł;—obejdźmy raczej dokoła sadzawki.

Minęli więc bramę i spuścili się na dół, wzdłuż parkanu.

— Tu gdzieś powinien być przełaz.

— Jest—odparł Szufla.

— No, to dalej!

Szufla przeskoczył żywo.

Wtem, psy ujadać zaczęły.

— Czy jesteś w dobrych stosunkach z temi stworzeniami?

— W najlepszych—odparł Antoni.

Duży brytan przypadł do nich szczekając groźnie, lecz po chwili łasić się zaczął.

Niewyrzekłszy ani słowa, Szufla i Czujski szli już teraz po zwirowanych ulicach ogrodu; rzekłbyś jacyś ludzie pchani pobożną myślą, spieszyli złożyć pamiątkę—na grobach.

Nie było to podobne ani do schadzki miłosnej, ani do zwykłej awantury.

Stanęli wreszcie przed dworem, wahając się

co czynić dalej. Kilka pokoi było oświetlonych; reszta domu zostawała w cieniu.

Antoni wskazał na jedno z tych jaśniejszych okien i rzekł:

— To pokój Naci.

Przybliżyli się.

Lampa stała na stoliku, dzięki jej, z zewnątrz widać było co się dzieje w pokoju. Przechadzała się po nim młoda dziewica, lecz nie była już o-na tąż samą którąśmy na Marszałkowskiej ulicy spotkali. Smutna, pochylona, walczyła widocznie z jakiemiś myślami, które nie wywoływały uśmiechu na jej śliczne usta.

W tej chwili zbliżyła się ku niej panna służąca. Ujadanie psów zaniepokoiło ją widocznie.

Nacia mówiła coś wskazując na ogród.

Panna służąca zrobiła gest ręką, jakby nie zwracała uwagi na to szczekanie i wyszła.

Za chwilę drzwi od ogrodu skrzypnęły, pokojówka zdążała do oficyny—na gawędkę.

Zaledwie jednak wyszła gdy Antoni zawołał ją cicho, po imieniu.

Panna Klara, bo tak się nazywała, cofnęła się przestraszona.

— Proszę się nie bać — wyszeptał głośniej nieco Czujski,—to ja, a raczej to my.

— Dla Boga!—zawołała pokojówka—pan Antoni! Co to znaczy? Czy powóz się panu złamał?

— Rozbił się... — odrzekł gorzko Antoni. — Ale, powiedz mi, moje dziecko, czy niemożnaby widzieć się z panną Natalią?

— Nie wiem.

— Proszę iść i oznajmić nas pannie.

Pokojowa zawahała się nieco.

— Cóż to znów? panno Klaro! — wyrzekł wesoło Szufla—taka ładna panienka i boi się, znajomych!

Dziewczyna ciekawie rzuciła wzrokiem w ciemność.

— Jest i drugi — szepnęła cicho—to nic nie szkodzi!

Wróciła zkąd wyszła i za chwilę ukazała się znów w pokoju Naci.

Ta, z początku, spojrzała obojętnie na wchodzącą — gdy naraz, usłyszawszy od niej słów kilka, wyprostowała się cała a śliczne brwi dziewczęcia ściągnęły się gwałtownie.

Klara mówiła dalej, poglądając na okno.

Wtem Natalia poszła prosto ku drzwiom. W ruchach i twarzy młodej dziewicy widniała jakaś silna, niezłomna wola—szybka decyzya, proste dążenie do celu.

We drzwiach, pokojówka zarzuciła na nią płaszczyk.

Za chwilę Nacia była już obok naszych znajomych.

Podeszła wprost do Antoniego—twarz jej była poważna i miała wyraz postanowienia. Ani uśmiechu kochanki, ani łzy dziecka w niej nie było.

Nacia zarzuciła mu ręce na szyję.

— Antoni! mój Antoni!—wyszeptała tylko.

Antoni zmiękł pod tym niespodziewanym uściskiem.

Rzuciła wzrokiem — i dostrzegła za drzewem stojącego Szuflę.

— Niech Bóg widzi i niech ludzie widzą — rzekła.—Twoja! tylko twoja!

I pociągnęła go za rękę o kilka kroków. Tam dopiero, zawiązała się pomiędzy niemi rozmowa cicha, pełna treści. Była to jakby umowa, jakby przysięga której nic nie rozwiązuje, nic, pró z sumienia własnego gdy to rozwiąże się samo...

Podeszli oboje do Adama.

— Dziwne sądy Boże! — szepnęła Nacia. — Miałeś pan drużbować—bądźże więc drużbą i słuchaj: Przed Bogiem i własnem sumieniem, on jest mój — rzekła, tuląc się do Antoniego — mój na wieki!

Nadstawiła czoło — Antoni złożył na niem pocałunek cichy.

— Chyba śmierć!—wyjęknął.

— Chyba śmierć!—powtórzyła dziewica.

Uścisnęli sobie dłonie wszyscy troje w milczeniu.

We wsi już ruch się wszczynał—parę wozów przeciągało po błocie.

— Tam—wskazała ręką dziewica — szosa robi zakręt, do stacyi w prostym kierunku niedaleko. Dyliżans do Warszawy przechodzi nad ranem. W imię Boże, bierzcie bilety i wracajcie. Znasz drogę Antoni?

— Znam—koło borku....

— Tak.

Szufla podał jej rękę i rzekł:

— Do widzenia.

— Do widzenia! — odrzekła, a potem nagłym ruchem przytuliła się do piersi Antoniego.

Za chwilę, dwie postacie coraz się oddalały po zwirowanych ulicach ogrodu; ostry zgrzyt kroków po zwirze był jakby jękiem rozpadającego się serca.

Nacia stała w ogrodzie — z rękami opuszczonemi—niema, skamieniała—walka, wysiłek energii i woli wyczerpały ją ostatecznie.

Pokojówka przystąpiła ku niej, wzięła pod rękę i zaprowadziła do pokoju.

Ból niemy, dziwnym procesem ducha, zmieniał się w gwałtowny. Dziewica stała obecnie na przełomie życia. Marzenie o szczęściu i spełnionych zamysłach przemijało. Coś, jakby podmuch szalonego uraganu wywracało wszystko—wszystko oprócz uczucia które boleścią, targaniem ser-

ca, stwierdzało swoje istnienie. Po za tym przełomem widniała przyszłość—lecz tak, jak widnieje przepaść—ponura, okropna dla tych co w nią zejść muszą—piękna, dla widzów—obojętnych.

I myśl jej goniła śmiało, odważnie naprzód.

— Wytrwam, wytrwam! — mówiło serce, a wśród płaczu i jęku dusza jej śmiała się, jakby chciwą była spełnienia ofiary.

Wreszcie, siły fizyczne osłabły, łzy dławić ją zaczęły; fala żalu podeszła do serca. I biedna Nacia uderzyła w płacz wielki, potężny, przed którym ludzie uginają czoła a nad którym niebo się lituje.

Dziewczę wychowane po chrześciańsku, ludzkiego współczucia nigdyby nie żądało, ale błagało Boskiej nad sobą opieki — kolana jej zgięły się i w pokoju słychać było słowa modlitwy, przerywane łzami. Była to jedna z tych chwil w których dusza dojrzewa, w których miłość i cierpienie oczyszczają całą istotę. Po przebyciu takiej chwili wstaje się z większą niż kiedykolwiek siłą — bo z wiarą w to czego się żąda.

Po owej nocy pamiętnej, nastąpiły dni czarne! Nacia wróciła z matką do Warszawy. Czasem tylko, jak blady promyk słońca, jakaś wiadomość o Antonim dochodziła do niej—później—nic!...

Rok cały przeszedł od tej pory. Stary Gricz umarł—pogrzeb odbył się cichy, skromny. Dziew-

czę rozwijało się i dojrzewało ślicznie wśród nieszczęść. Niedziw! bujny kwiat porasta zwykle mogiły.

Wiele osób wyjeżdżało wówczas zagranicę i matka Gricz, jakkolwiek zżyła się z krajem, zawsze jednak Pekowicz-Adeta skapitalizowawszy to co się skapitalizować dało, wyjechała wraz z córką. Nacia była wielce zadowolona z tego wyjazdu; jakaś nadzieja wstąpiła w jej serce, coś jej mówiło że spotka się z Antonim, że jakichś przecież wiadomości pewnych zasięgnie tam o nim. Oddalenie i nieświadomość co się z nim stało, nie osłabiły jej uczucia. Zrosła się z niem dziewica— miłość ta była jej życiem, przyszłością. Wierzyła w siebie i w człowieka którego kochała. Żaden cień podejrzenia nie zatruwał czystej myśli. „Chyba śmierć!“ powtarzała sobie i łzy cisnęły się jej do oczu. Śmierć! wszak ona tak była możliwą! Lecz myśl jej po chwili inne, lepsze przedstawiała obrazy i jaśniejsze kreśliła przypuszczenia. Choroba, oddalenie, któż wie jakie wypadki, wśród których pisać niemożna, mogły przecież usprawiedliwić milczenie tak długie Antoniego.

III.

Drugie cesarstwo we Francyi jaśniało pełnym blaskiem. Następstwa ekspedycyi meksykańskiej

jeszcze się odczuć nie dawały. Wszechpotężny sfinks z Tuillerie z przymkniętemi powiekami, z mętnym swym wzrokiem, rządził jeszcze wtedy światem. Paryż bawił się, szalał, grał na giełdzie, ścigał się na torach, litował się nad biednemi i szedł krokiem pewnym, śmiało pogłądając w przyszłość.

W tym gwarze, w tym natłoku, pełno było idei, dążeń i intryg. Rzekłbyś że wytworzyła się jakaś potężna, wielka księga poezyi, że to jakiś dramat lub powieść genialna, która każdego zajmie, bo w tej różnorodnej masie każdy znachodzi cząstkę samego siebie. Jakoż istotnie w tym wielkim grodzie, każda narodowość znachodziła miejsce, każda myśli swe niosła do tej ogólnej cieplarni by się wylądz i rozrość mogły. Była to chwila w której świat europejski, a szczególnie świat francuzki, o tem, co dziś nazywają Słowiańszczyzną, mało wiedział. Wiedzieli wprawdzie i to niektórzy tylko, że jest w Turcyi coś, oprócz turków, co się nazywa „rają“, ale czem była ta raja? o to nikt nie dopytywał się nawet. Serbia znajdowała się pod okupacyą wojskową sułtana, Rumunia a wówczas Mołdo-Wołoszczyzna czyli księstwa Naddunajskie, miały swego hospodara i te najwydatniejsze były. Rumunowie bowiem mieli pieniądze i języki obracające się szybko. Jużto pieniądze przydadzą się zawsze,

za to szybkość obrotów językowych, mniej często —w tym jednak razie i te ostatnie miały swoją wartość. O bulgarach wiedziano też nieco, lecz w kołach uczeńszych tylko.

W Paryżu jednak mieszkała garstka serbów, dużo rumunów i kilku bulgarów. Ten zawiązek inteligencyi południowo-słowiańskich narodowości, nie miał jednak wtedy jeszcze w swych zapatrywaniach żadnych stale określonych i naprzód obmyślanych celów. Nic ich jeszcze nie rozdzielało; żyli razem. Odrębno-polityczne istnienia każdej z tych narodowości były wtedy pokryte gęstą mgłą, jednoczyła je tylko jedna, wspólna idea, jeden naglący interes—t. j. chęć zrzucenia jarzma ottomańskiego, które dając się we znaki mniej lub więcej boleśnie, każdemu z nich, zniewalało do pobratymstwa i solidarności. Była to zresztą młodzież ucząca się, posiadająca środki utrzymania i żyjąca w swojem odrębnem kółku, które atoli za mało wybitnem było iżby mogło posiadać przyciągającą siłę. Młodzież ta, acz należąca do narodowości różnych, miała jednak bezpośrednie stosunki z Bukaresztem, jużto pochodząc sama z Mołdo-Wołoszczyzny, już dla tego iż rodziny ich wyemigrowawszy z pod rządów tureckich dostojników, tam się poosiedlały.

W tymże samym czasie i polskiej młodzieży było dosyć w Paryżu, lecz ta dawała niewielki

zastęp uczących się: garstka w szkole na Batignolles, nieco w ogólnych francuzkich naukowych zakładach, reszta zaś toczyła ciężką walkę o zdobycie powszedniego chleba, którego brakowało im wielce, tembardziej, że do zdobycia go nie posiadali żadnego specyalnego uzdolnienia.

W takich to warunkach przybyły do Paryża, pani i panna Gricz. Było to żądaniem Naci, jej marzeniem, rodzajem pielgrzymki pobożnej. Wątpię czy Liwingstone z taką niecierpliwością, z taką ochotą puszczał sie w podróż! Spodziewała się bowiem znaleźć tu Antoniego lub przynajmniej jakieś o nim wieści.

Od roku przeszło, od owej pamiętnej nocy, Antoni Czujski znikł bez wieści prawie; czasem tylko głuche o nim dochodziły nowiny. Stary Czujski wyjechał na północ daleką, Gricz umarł —listów nie było.

Boleść i tęsknota owładnęły sercem dziewicy; nieszczęścia rosły, lecz wraz z niemi rósł i charakter jej prawdziwy, nieugięty. Przychodziły jednak na nią chwile zwątpienia: wtedy zdawało się jej, że to co straciła, straciła na wieki i dusza jej wzdrygała się — bo po za tem przypuszczeniem przyszłość rozciągała się szara, bezbarwna, rodzaj obezwładnienia, obojętności. Wszystko jej było wtedy jedno: klasztor czy mąż jakikolwiek; mąż czy stare panieństwo, życie w

świecie czy życie bez świata. To co gorzało na okół serca—wygasło, pozatem pustka bez końca i życie bez celu. Lecz teraz miała przed sobą cel jakiś; jakaś wewnętrzna otucha ożywiała ją całą. Wierzyła że znajdzie Antoniego, sądziła że może dumny, biedny, a może i kaleka, uciekł od niej i przed rozpłomienioną wyobraźnią szlachetnej dziewczyny snuły się, po kolei, dnie szczęścia lub dnie poświęceń.

Po małym przystanku w Dreznie, matka i córka ruszyły do Paryża.

Rok 1865 zaczynał się ledwie. Potężny dworzec kolei, ruch fiakrów, powozów, pieszych, omnibusów, cały ten zamęt który owłada każdym świeżo przybywającym do nadsekwańskiej stolicy—ta dziwna rzecby można, gorączka paryzka, owładnęła także i Nacią, a pochłonęła już całkiem panią Gricz.

Nacia sądziła się być u kresu podróży; patrzyła ciekawie na snujących się przechodniów, badała wszystkich; zdawało się jej nieraz że widzi Antoniego i znów złudzenie pierzchało.

Matka innego była usposobienia — ani zła, ani dobra; ani rozumna, ani głupia, żyła dotąd w okolicznościach tak łatwych, że żadnej wybitnej roli sama odegrać nie mogła; okoliczności ednak mogły przeważyć charakter jej na jedną lub drugą stronę. Znudził ją też nakoniec cią-

gły smutek córki a to jej nadmierne przywiązanie do nieobecnego, gniewało potrosze, drażniąc i rozbudzając pewną zazdrość nawet. Mały, ale praktyczny rozumek rodu Pekowicz-Adetów, mierzył ludzi, nietylko podług ich wartości moralnej; po za tą stały inne, bardziej materyalne walory—a wątpiła już teraz ażeby Antoni Czujski. jeżeli żyje jeszcze, posiadał walory takie. Czujski nabierał w jej przekonaniu zbyt duchowej formy, która człowieka, jak mgła ranna pejzaż, ubiera niekiedy w fantastyczne i piękne kształty—zdaleka — lecz... zdaleka tylko—niestety!

Do Paryża nęciła ją głównie chęć zobaczenia się z tym z którym dotąd porozumiewała się tylko listownie. Był to jej brat młodszy, Mikołaj Adeta, bezdzietny, bogaty, znany w Bukareszcie, mający rozległe stosunki, a także i znaczny udział w ogromnym, jak wówczas utrzymywano, interesie kolei rumuńskich.

Pani Gricz myślała iż w tym natłoku ludzi, w tym ruchu, wirze szalonym, biedny Antoni Czujski pójdzie w niepamięć prędko; cierpliwie przeto czekała, w niczem pozornie nie sprzeciwiając się córce, choć w duszy przygotywywała się do rozpoczęcia, z całą energią, akcyi niwelującej, zamierzając nieszczędzić ani trudu ani pieniędzy, byle tylko dopiąć swego.

Brat ów, Mikołaj Pekowicz-Adeta, zjawiał się w samą porę. Wuj bezdzietny, naturalny opiekun pięknej i bogatej Naci, znaczył bardzo wiele! tembardziej, że wraz z nim miały się zjawić dokoła niej zabawy, i świat modny stanąć przed nią otworem.

Wuj Pekowicz miał dobre znajomości. Wszystko co było w Paryżu z młodzieży bułgarskiej, serbskiej i rumuńskiej, wszystko to bywało u niego. Niemłody wiekiem lecz rzeźki umysłem i myślą, był potrosze marzycielem politycznym i szanowna jego osoba niemałą miała odegrać na tem polu rolę. I nie dziw: stosunki z firmami bankierskiemi, duży majątek, udział w przedsiębiorstwie kolei rumuńskich, stawiły go na wydatnym planie.

Mikołaj Pekowicz-Adeta prowadził z siostrą ciągłą korespondencyę: o przyjeździe jej do Paryża wiedział, i pragnął teraz przypomnieć ją sobie zbliska a zarazem zobaczyć młodą i, jak mu donoszono, piękną siostrzenicę. Zajął się więc żywo urządzeniem ich życia w sposób najweselszy, najwygodniejszy i najracyonalniejszy. Sproszkowany przez świeżą burzę, ówczesny element polski w Paryżu nie przedstawiał żadnych danych, wolał więc usunąć go na korzyść tych z którymi żył, i chciał ażeby się na to zgodziły, mające tam przybyć, siostra i jej córka.

W godzinę po przybyciu do Paryża, pani i panna Gricz zatrzymały się na ulicy Richelieu w hotelu tegoż nazwiska. Ruchliwa ta ulica, jedna z głównych arteryi, przytykała z jednej strony do bulwarów, z drugiej zaś do placu tuilleryjskiego i do Sekwany.

Hotel Richelieu otoczony małym skwerem, cofnięty od ulicy, dostępny tylko dla możnych, urządzony z komfortem, podobał się obydwom paniom, ku czemu przyczyniała się także ulica wrząca ruchem nieustannym, do którego, jak do szumu rzeki, dołączał się silniejszy stokroć, szum bulwarów, jak huk oceanu.

Nacia siadła przy oknie. Zajęła ją nowość obrazu, któremu też przypatrywała się ciekawie.

W parę godzin potem, zajechał przed hotel parokonny powóz, z którego wysiadł mężczyzna ubrany bardzo starannie, nieco szpakowaty, z czarnemi bystremi oczami, o rysach regularnych, jeszcze pięknych, a z obejściem znamionującym wytwornego światowca.

Był to Mikołaj Pekowicz-Adeta. Uwiadomiony przez siostrę telegrafem o jej przybyciu, pospieszył do niej jak mógł najprędzej, chociaż opóźnił się znacznie, zatrzymany jakimś interesem ważnym.

Przywitanie brata z siostrą było serdeczne bardzo. Pani Gricz, która jeszcze przed chwilą

czuła się opuszczoną, bez nikogo, bez znajomych, a nadto jeszcze obarczona córką zakochaną, według niej, niewłaściwie,—nie posiadała się z radości na widok brata, który miał ją otoczyć opieką. Uściskała więc czule Mikołaja, Mikołaj ją; potem popatrzyli na siebie chwilkę, a wreszcie poczęli oboje kiwać smutnie głowami, spostrzegłszy wzajem swe siwe włosy.

— Moja córka — rzekła nakoniec pani Adeta, przedstawiając Nacię.

Dziewica podała wujowi rękę.

— O! nie tak!—zawołał Mikołaj i pochyliwszy się pocałował ją w czoło.

— Moje dziecko—dodał z uśmiechem — jako wuj, jestem już niejako z urzędu twoim opiekunem, a jeśli chcesz to zostanę i najżyczliwszym twoim przyjacielem. Zresztą, znam cię już przecież, choćby tylko z listów jakie pisywałyście do mnie obiedwie z tak dawna.

— Dziękuję ci mój wuju za twoją serdeczność, a opiekę i przyjaźń z wdzięcznością przyjmuję —wyrzekła Nacia.

Pani Gricz ze swej strony zażywszy, jak się to mówi „staropolskiej kaszy“, rozczuliła się na dobre, a ucałowawszy brata w oba policzki, zaczęła rozmawiać z nim tak poufale, jakby się nigdy z sobą nie rozłączali.

Jednakże po upływie godziny Mikołaj Pekowicz powstał i rzekł:

— Mieszkanie dla was już mam gotowe, jutro się tam przeniesiecie. Rozumie się, że wam towarzyszyć będę w charakterze przewodnika i... intendenta. Mieszkanie to leży przy ulicy d'Isly, na pierwszem piętrze pod numerem 17-ym. Dla mojej ślicznej siostrzenicy jest tam pokoik pełen kwiatów. Zastaniecie zresztą, salon wielki, salonik... słowem, wszystko co potrzeba.

— Dziękuję ci Mikołaju, — rzekła z uczuciem pani Adeta.—Tak troszczyłeś się o nas!

— Czemużby nie? Dotąd nie troszczyłem się o nikogo. Będzie to więc jakaś odmiana w tem nudnem życiu. Więc tedy, jutro będziecie panie gotowe? — dodał biorąc za kapelusz.

— Dobrze, jutro—odpowiedziały obie.

— Teraz, pożegnam was. Potrzebujecie wypocząć po długiej podróży. Zresztą, już późno...

To rzekłszy Mikołaj odszedł—pozostawiwszy siostrę uszczęśliwioną.

Pani Adeta bowiem, już zawczasu spodziewała się w bracie zyskać sprzymierzeńca w walce przeciw uczuciom jakie Nacia żywiła dotąd dla ex-narzeczonego, który zresztą zaginął gdzieś zupełnie.

Czy jednak Antoni Czujski zginął istotnie? Zobaczymy to zaraz.

IV.

W dżdżysty dzień marcowy, w wagonie 3-e klasy w pociągu który już dobiegał do Paryża, było pełno podróżnych. Sine bluzy uwrierów i mundury żołnierzy z piechoty, napełniały ten wagon.

Tylko na jednej ławce siedziało dwóch młodych ludzi, w zwykłych ubiorach, chociaż pomiętych bardzo.

Rozmawiali oni z sobą pocichu.

Byli to dwaj nasi znajomi: Szufla i Czujski.

Czujski mało się zmienił od chwili gdyśmy go raz ostatni widzieli. Za to Szufla wyglądał zupełnie inaczej.

Pyzata wówczas twarz młodego litwina, teraz wychudła i przeciągnęła się bardzo; za to jego oczy nabrały więcej jeszcze wyrazu. Zmężniał też znacznie a mały, ciemny wąsik zdobił młodzieńczą wargę.

— No! dojeżdżamy już wreszcie do tej ziemi obiecanej—wyrzekł litwin—tylko że ziemi jakoś nie widać, za to murów huk wszędzie! Ot, obiecanka, cacanka...

— Bądź spokojny! Przecież i tu znajdzie się kawał chleba.

— Nie mam pojęcia, jakim sposobem my tu zarabiać potrafimy. Cała nasza filologia wynie-

siona ze szkół, na nic się tu nie przyda. Szczęściem, że mam już z natury usposobienie do szewctwa, spożytkuję to i zostanę szewcem—no! ale paryzkim!

Rozmawiając i ironizując w ten sposób, dwaj podróżni dojechali do owego grodu, który miał się stać przytuliskiem i ostatnią nadzieją rozbitków.

Dziś, po latach, podczas których tylu ludzi z powierzchni ziemi w jej głąb' się zapadło... gdy świat spoważniał czy też się przeżył—z jakąż to tęskną ironią niejeden z nas wspomina owe chwile; ów gród a raczej... grób nadziei—bez nadziei!

Czy mam opisywać szczegółowo przyjazd biednych ludzi do bogatego miasta?

Smutna to i monotonna historya!

Nim człek się zespoli choć w części z tym wirem ogólnym, który w wielkich zbiorowiskach ludzi panuje—nigdy i nigdze tak się samotnym nie czuje jak w tym wirze. A potem? Potem, praca, kłopoty, nowe idee i nowe... blagi, wyrównywają ten grunt jakoś.

Szufla i Czujski zatrzymali się w hotelu „*Jacob*“ na ulicy „*Jacob*“, to jest na początku dzielnicy „Łacińskiej“. Był to uprzywilejowany hotel gryzytek i studentów.

Nazajutrz udali się na ulicę Lille, gdzie mieszkały osoby do których mieli rekomendacye. Osoby te, wysłuchawszy ich, zarekomendowały

jęszcze innym, położonym wyżej, a te już miały niby znaleść jakieś odpowiednie zajęcie dla zubożałego szlachcica.

Czytelniku! czy wiesz, co jest znaleść zajęcie dla zubożałego szlachcica?

Napróżno w tej istancyi ostatniej starano się wybadać do czego który z nas, przybywających tam wówczas, był uzdolniony; napróżno starano się podciągnąć go pod tę lub ową kategoryę fachu, nauki lub rzemiosła.,. Zubożały a wykształceńszy szlachcic, kawałkami swej wiedzy do każdej kategoryi należał; była to niby jakaś niedoszła encyklopedya, niepotrzebna na nic nikomu. Żyć jednak było potrzeba—lecz w takich warunkach, walka o byt, przy najlepszych nawet chęciach, łączyła się z trudnościami wielkiemi.

W tych właśnie warunkach Szufla i Czujski zaczęli prowadzić życie bez celu; szukając zajęcia przeżywali szczupły zapasik pieniężny, przywieziony z kraju. Z domu żadnych nie mieli nowin i mieć ich nie mogli, tyle tam zmian od czasu ich wyjazdu zaszło! Obadwaj zresztą zmienili swoje nazwiska, a parę lat niedoli zmieniły ich twarze. Byli więc teraz jakby obcy, jak oderwani zupełnie od społeczeństwa, wśród którego żyć musieli.

Zajęcie liche, jedyne jakie dostali, przepisywanie cyfr, za małem wynagrodzeniem, i przygoto-

wywanie się do zdania egzaminów, zajmowało im czas zupełnie.

Był to dzień świąteczny. Na pola Elizejskie ciągnęły powozy dwoma rzędami; niedzielni jeźdźcy siedząc, jak małpy, na koniach, *karakolowali* do lasku Bulońskiego. I nasi też dwaj znajomi używali w tym dniu przechadzki. Dochodząc do Arc de Triomphe spotkali tam znaną im dawniej figurę—czas jednak i okoliczności zmieniły, zarówno ich, jak i owego człowieka.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, blondyn, rudawy, typ izraelity, z bródką niewielką, z okiem żywem a ubrany wykwitnie. Widocznie jednak i on ich nie poznał lub poznać może nie chciał. Minąwszy bowiem obu zwrócił się nazad i znowu spojrzał im w oczy.

Nie było wątpliwości—blondyn z bródką był ich znajomym i kolegą szkolnym.

— Winerbrand!—zawołał Czujski.

— Antoni! — krzyknął zagadniony, i byliby sobie padli w objęcia wśrod tłumu na polach Elizejskich!

Powściągnęli się jednak od takiego wybuchu czułości.

Winebrand był bratem-rodakiem, mojżeszowego wyznania; razem z Czujskim przechodził szkoły, a i Szuflę znał dobrze. Przywitanie więc było serdeczne.

— Cóż wy tu robicie?—zawołał.

— Niewiele—odparł Szufla.

— A z domu?

Antoni machnął ręką.

— To źle! Chodźmy do kawiarni pomówimy obszerniej.

Udali się tedy razem, zasiedli i poczęło się szczegółowe opowiadanie wypadków, które ich aż tu zagnały.

I Winerbrand nie był maleńkim człowieczkiem; i on także miał o sobie wyobrażenie pochlebne.

— No,—rzekł—a teraz wam powiem, że będziecie się włóczyć od jednego do drugiego z tych panów a nikt wam z nich nic nie zrobi, bo choćby chcieli nie mogą. Ja wam natomiast, zaproponuję coś innego: Jak mnie tu widzicie, służę i dobrze na tem wychodzę. Jest w co się odziać a jest i tu! — dodał, uderzywszy się ręką po kieszeni. — No, a będzie i więcej, z czasem...

— Lecz jakież to zajęcie—rzekł Antoni—ja wszystko przyjmę byleby tylko zarobek był uczciwy.

Winerbrand uśmiechnął się.

— Zobaczysz!—wyrzekł krótko.

— Gdzież tedy pracujesz?

— U pana Mengensterna.

— Jakto? u tego, co w Warszawie....

— U tego—alboż co?

— Nic, — ale słyszałem, że on zbankrutował... podstępnie?

— Głupstwo! Nieprawda. Zbankrutował wtedy istotnie, a powody do tego były też same, dla których my tu obecnie spokojnie kawę pijemy.

— Czy rzeczywiście?

— Ręczę za to! Otóż, widzicie, Mengenstern wchodzi teraz w ogromną aferę kolei rumuńskich, z baronem Oppen. Słyszeliście pewnie o nim... Potrzebuje on ludzi, lecz nie francuzów, chce bowiem dopomódz swoim. Rozumie się jednak że wśród tych szuka nielada kogo — lecz ja was zarekomenduję.

— Dobrze—rzekł Czujski—ale warunek...

— No, jaki?

— Nie wymienisz tam naszych prawdziwych nazwisk.

— A więc i wy chorujecie także na ambicyę szlachecką...

— To nie choroba, ale konieczność spowodowana okolicznościami. Zresztą, już pod innemi nazwiskami zapisano nas w prefekturze.

— Jakże się więc nazywacie niby? — zapytał Winerbrand.

— Ja—rzekł Czujski — pisze się Przemelskim, a Szufla Młońskim. Więc słowo?

— Słowo! Przecież mnie, Winerbrandowi,

nie chodzi oto abyście mniej lub więcej herbo wnie wyglądali! A gdzie mieszkacie?

— Przy ulicy Jacob w hotelu Jacob.

— A więc do jutra! Teraz już odejść muszę; lecz o godzinie 5-ej będę u was. Interes zresztą, jakby już załatwiony i nie dziw! nowa instytucya, więc potrzebuje i szuka sobie pracowników.

Winerbrand wyszedł. Był on kolegą niezłym, po głowie jednak snuły mu się rozmaite kombinacye, odpowiednie zajmowanej pozycyi. Miał pryncypała i chciał mu dogodzić.

Ten pryncypał, pan Mengernstern, opuścił Warszawę w 1863 roku z pobudek bynajmniej niepolitycznych, bo same tylko kombinacye finansowe doprowadziły go do... małego bankructwa; bankructwo to napędziło mu grosza. Wprawdzie, przestępstwo ciążyło na nim, ale za to pieniądze przy nim zostały. Wspólnicy zaś takiej „plajty“ prowadzili dalej upadły niby interes, spokojnie i rozsądnie, jak na „uczciwych“ ludzi przystało.

Lecz w kraju panowała jeszcze zawierucha; w zamięszaniu przeto, względy kieszonkowe podciągnięto zręcznie pod inną kategoryę i tym sposobem pan Mengernstern znalazł się w Paryżu z silnym kapitałem, ze znajomością interesów... i... z pewną aureolą patryotycznej niby... ofiary.

Lecz, złośliwe języki jakich niebrak nigdzie, rzucały cień podejrzenia na ruble pana Mengensterna i na ową męczeńską niby, jego aureolę. Więc należało koniecznie ukonsolidować ją silnie. Wymagała tego, nietylko satysfakcya moralna samego bohatera... lecz i czysto praktyczna strona jego przyszłych finansowych operacyj, mogących się rozciągnąć ku rodzinnym stronom. Podejrzanemu spekulantowi—potrzebną była koniecznie reputacya świetna!

Winerbrand wyemigrowawszy, jak inni, spokrewniony z Mengensternem, został przyjęty przez tegoż do pracy biurowej. Pan Mengenstern bowiem jako już wówczas *agent de change*, miał własny kantor i stawiał pierwsze kroki na paryzkiej giełdzie; lecz chociaż grał szczęśliwie i spekulował coraz śmielej, marzył jednak o szerszej i wyższej dla swoich działań sferze.

Świeży, bo dopiero w pierwszem pokoleniu katolik, wdzierał się on w sfery takzwanego „towarzystwa“ siłą pieniędzy, do której rad dołączał moralną siłę... opieki nad nieszczęśliwymi współziomkami.

Wprawdzie dotąd, zdania o nim w świecie były podzielone jeszcze—jednakże już liczył na to, że wkrótce z tej mięszaniny wytrysnąć miał sam tylko hymn pochwalny!

Bądź co bądź, w kantorze p. Mengensterna kilku ludzi znajdowało kawałek chleba.

Wówczas to właśnie zaznajomiwszy się z baronem; Oppen i z dwoma jeszcze innymi finansistami wiedeńskiemi a nadto z giełdowym światem paryzkim, Mengenstern przystąpił jako akcyonaryusz, do towarzystwa kolei rumuńskich, a energia, spryt i stosunki osobiste z aferzystami galicyjskiemi, ułatwiły mu dobicie się roli czynnej w tej kolejowej akcyi.

Był to człowiek trzydziestokilko-letni, zdrów, dobrej uszy, wzrostu średniego, z połyskiem tłustawym na twarzy; brodę nosił przystrzyżoną krótko a oczy miał żywe, czarne, włosy zaś kędzierzawe nieco. Wszystko to razem wzięte, nie zacierało w jego fizyognomii typu izraela.

Wieczorem, tegoż dnia, Winerbrand przemawiał gorąco do swego pryncypała w interesie Szufli i Czujskiego.

Był on dobrym kolegą; naturę miał niezłą, lecz charakter słaby a okoliczności w których żył, sprzysięgły się aby go zepsuć. Przytem chciwość, chęć błyszczenia i różowe pazurki jakiejś półświatkowej kamelii paryzkiej, postawiły go na progu przepaści.

Winerbrand sam nie wiedział jak wielkie zachowanie miał u Mengensterna.—„Ten chłopiec zajdzie wysoko“ mawiał o nim pryncypał. Otoż,

chłopiec który miał zajść wysoko, uzyskał czego żądał, a Czujski i Szufla, vulgo: Przemelski i Młoński, otrzymali posady w agencyi pana Mengensterna, w biurze oddzielnem, które mieściło się przy ulicy Casimir Delavigne.

Sporządzano tam kopie i inne dokumenta, przepisywano bezmyślnie cyfry a wszystko to już gotowe, szło na ulicę Castiglione, gdzie mieszkał p. Mengenstern i gdzie była główna jego kwatera.

Nazajutrz rano, gdy Winerbrand wpadł do hotelu Jacob, radość tam zapanowała wielka! Szufla i Czujski za *90* franków miesięcznie każdy, mieli pracować w agencyi, głównie zaś przepisywać cyfry. Praca to była ciężka, lecz cięższe bywa przecież bezrobocie, na głodno!

Przyjaciele nasi wzięli się więc do pracy; szczupły zasiłek grosza z domu świecił się potrosze, czekali nastania okoliczności lepszych. Tymczasem robota absorbowała ich zupełnie: dwanaście godzin pracowali w biurze lub w domu, reszta dnia pozostawała im na jadło i na spoczynek. Żyli więc jakby samotni, wśród olbrzymiego grodu.

V.

Lecz, wróćmy na chwilkę do pań Gricz.

Mikołaj Pekowicz-Adeta ulokował je jak mógł najwygodniej. Dla niego przy tych krewniaczkach otwierał się teraz jakby własny dom rodzinny; dom, który stawał się oraz zbiorowym punktem jego wspólników finansowych i politycznych. Na czele pierwszych stał baron Oppen, drugi składała młodzież rumuńska, bulgarska i serbska.

W parę tygodni po przyjeździe pań Gricz, całe to towarzystwo znajdowało się już w salonie pięknej Naci, zachwycało się tą polską dziewczyną, i... zdumiewało się nad jej.... obojętnością.

Nacia tymczasem poruszała wszystkie sprężyny by się czegoś o Czujskim dowiedzieć. Niestety, wszystkie te jej zachody robione były jeszcze przed przybyciem jego do Paryża. Wówczas bowiem Antoni i Adam siedzieli cicho w jednym z fortów Igławy. Ucieczka ztamtąd i bojaźń popadnięcia gdzie znowu w łapkę, naprowadziły ich na myśl zmienienia nazwisk, co, przyznać należy, było jakby ówczesną manią. Skutkiem tego, nawet po przyjeździe do Paryża przepadli tam bez wieści. Czujski zresztą, jako przeciążony pracą nie żył z nikim nawet z ziom-

ków prawie. Nie dziw przeto że wszelkie poszukiwania biednej Naci spełzły na niczem, a Antoni po paru listach do niej pisanych do kraju, na które oczywiście żadnej nie otrzymał odpowiedzi, nie wiedział również co czynić.

Tak schodziły dnie i miesiące.

Tymczasem, wuj Mikołaj wspólnie z panią Gricz, układali przeróżne kombinacye, dotyczące wydania zamąż Naci.

Do tej godności przedstawiało się dwóch głównych kandydatów: student wszechnicy paryzkiej, bulgar rodem, Jan Draszkowicz i p. Mengenstern. Pierwszy, jeden ze zdolniejszych ludzi, marzyciel bez granic, zagorzały patryota, młody, przystojny, mówiący z zapałem o swoim kraju i o swoich ideach, mógł się bezwątpienia podobać młodej dziewczynie przybywającej ze stron w których nie były obcemi polityczne marzenia — drugi, bogaty, pozujący na magnata i przyszłego króla giełdy, dawał rękojmię wielkich stosunków finansowych i świetnego dobrobytu.

Był dzień wiosenny, śliczny pogodny, z którego korzystając wuj Mikołaj urządził maleńką wycieczkę wiejską dla pani i panny Gricz, zaprosiwszy oraz kilku znajomych.

Właśnie siedział był z siostrą w małym saloniku, czekając aż się Nacia ubierze.

— No, i cóż, moja siostruniu — zaczął pan Mikołaj—czas pomyśleć o pannie Natalii. Wartoby ją zamąż wydać, ludzie się trafiają...

— Czuję to—odparła pani Adeta — ale sprawa z nią trudna; próbowałam już mówić o tem, ale dziewczyna ani słuchać nie chce! Zawsze ten jej pierwszy narzeczony... w myśli i w mowie.

— A! ten polak — znam jego historyę; smutna, to prawda. Jak się on nazywa?

— Antoni Czujski.

— Niech będzie Czujski; zawsze jednak koniec temu położyć trzeba. Może ów młody bohater zginął lub zapommniał o Naci, a biedna dziewczyna przepada za nim na próżno? Wreszcie też, szkoda tracić takich partyj jakie się jej trafiają obecnie, bo to widzisz, szczególniej Mengenstern—milioner prawdziwy!

— Ależ, Mikołaju, on się jej nie podobał wcale.

— Bajeczki! Niech-no tylko Czujski raz wywietrzeje z tej młodej głowy...

— Wywietrzeje? — jęknęła pani Adeta. — Lecz czy wywietrzeje i jakim sposobem?

— Bardzo łatwym.

— Jakim?

— A Draszkowicz?...

— Ach!... Zaczynam rozumieć.

— Więc widzisz. Draszkowicz marzyciel i

rewolucyonista, nie jest wprawdzie możebny na męża, lecz zostanie przez nas użyty jako rodzaj pomeksu, do starcia dawnych szczerb na sercu Naci. Draszkowicz młody, piękny, z swojemi ideami wzniosłemi, wyruguje Czujskiego—a wtedy my położym nasze veto; upieczemy tego biedaka, a wystąpim z Mengensternem—no, i zabezpieczymy Naci przyszłość świetną i wielką.

— Dzięki ci, Mikołaju! —zawołała z uniesieniem pani Adeta. — Radź i działaj, bo ja sama z tą krnąbrną Nacią nigdybym rady sobie nie dała.

A więc,—ciągnął dalej p. Mikołaj, — pozwól mi z nią pomówić...

W tej chwili właśnie wchodziła Nacia Gricz.

Parę lat więcej, elegancya paryzka i smutek jaki ją trapił, zrobiły z wesołej niedawno dziewczyny, jakieś uosobienie wdzięku, dystynkcyi i piękna. Dojrzewała w niej teraz właśnie kobieta z całym zasobem poświęcenia, wiary i przywiązania, a na jej czole jaśniały myśli bez skazy, uczciwe a silne.

Nacia była już ubrana jakby do wyjścia, z kapelusikiem na głowie i z parasolką w ręku.

— Cudowna!—mruknął wujaszek.

— No cóż wujaszku, jedziemy? — zawołała, jakby rozweselona nieco.

— Jedziemy, moje dziecko, ale...

— Cóż za ale? Oboje z mamą, macie takie miny jakby wam chodziło o urządzenie losów wszystkich państw europejskich.

— Ha! może też chodzi nam o coś więcej nawet, bo o ciebie i o przyszłość twoją. Siadaj Naciu, pragnę pomówić z tobą.

Młoda dziewica domyśliła się już o co chodzi, albowiem już przedtem miewała nieraz z matką podobne rozmowy. Więc odrzekła spokojnie:

— Słucham wujaszku.

— Przystępuję wprost do rzeczy. Widzę cię młodą i piękną; jesteś w wieku w którym o losie swoim pomyśleć się godzi; nic dziwnego przeto że i ja myślę o przyszłości dla ciebie. Ludzi i tu niebrak, a wszystkim, ilu ich jest, pozawracałaś głowy; trafiają ci się partye bardzo dobre: masz np. Mengensterna, Draszkowicza.

— Ależ wuju—rzekła z wyrzutem łagodnym — wiesz przecie że mam narzeczonego, którego kocham nad życie.

— Dziecko moje! tamto już przeszło...

— Nie przeszło! — zawołała gwałtownie. — Więc dla tego że mu się szczęście nie uśmiechnęło, że może biedny i opuszczony w tej chwili — ja, mam się go wyrzec!

Zerwała się z miejsca i stanęła wyprostowana, blada.

— Czego wy odemnie żądacie—czy wuj mnie rozumie?—zapytała.

— Żądamy rozwagi i rozsądku — odparł niezmięszany pan Mikołaj — a pragniemy szczęścia twego. Siadaj Naciu, pomówmy jeszcze dalej spokojnie; wszak pozwoliłaś mi mówić o wszystkiem.

— Proszę!—wycedziła zimno, siadając.

— A więc zapytam, co powiesz na to, jeżeli twój narzeczony nie żyje?

I tak już blada twarz dziewczyny, stała się jakby martwą.

— Wuju!—jęknęła cicho—może wuj coś już wie o nim?

— Niewiem.

Nacia drżała całym ciałem, podniosła zwolna oczy—łzy ciche, duże, spadały na jej twarz, jedna za drugą.

— Niemęczcie mnie—szepnęła.

Matka siedziała zakłopotana, a i panu Mikołajowi jakoś przykro się zrobiło. Postanowił jednak wyczerpać kwestyę.

— Mówiłem to, dziecko moje,—rzekł — jako proste przypuszczenie, które jednak niestety, wśród takich okoliczności, arcymożebnem być może... Pozwól mi jednak skończyć.

— Kończcie! och kończcie! — zawołała, łamiąc rączęta drobne.

— Otóż, widzisz, ja nic o nim nie wiem, tak jak i ty; ale w razie gdyby nieszczęście takie nastąpiło, cóż uczynić zamierzasz? Trzebaż żyć przecie? Ja także ci powiem z kolei: nie męcz nas!

Nacia milczała przez chwilę, jakaś straszna martwota ogarniała całe jej jestestwo.

— Wtedy, — wyszeptała, — wtedy... mnie wszystko jedno!

— A więc dla spokoju matki, i dla mego; wreszcie dla szczęścia twego, czy poszłabyś zamąż wtedy?

— Jak zechcecie! Zamąż, do klasztoru, czy do trumny — pójdę wtedy wszędzie! Cóż mnie wówczas życie i świat cały obchodzić będą?

— Słowo, Naciu?

— Słowo—wyrzekła biedna dziewczyna.

Wtem, nagle jakiś odblask rozpaczy przebiegł po jej twarzy i usunęła się do kolan pana Mikołaja.

— Wuju!—zawołała—ukrywacie przedemną prawdę!

Płacz gwałtowny zdławił jej gardło, chwilka ciszy grobowej zaległa w pokoju.

Pani Gricz niewytrzymała dłużej.

— A co, Mikołaju! — krzyknęła — wszak ci mówiłam! mówiłam przecie!

I porwała Nacię w objęcia, wołając z płaczem:

— Dziecko moje! Naciu moja droga; my nic nie wiemy, przysięgam ci, uspokój się!

Nacia optrzytomniała.

— Czy mama daje mi słowo?

— Daję, przysięgam! Ani ja, ani brat, o niczem dotąd co dotyczy Antoniego dowiedzieć się nie mogliśmy.

— Ha! —odrzekło dziewczę — powiedziałam wam wszystko, nie każcie mi cierpieć dłużej...

— Nie! nie! Uspokój się, otrzyj łzy, przejedziemy się troszkę, to ci dobrze zrobi.

W godzinkę potem całe towarzystwo udało się na wskazane miejsce. Część gości już tam czekała, między innemi Jan Draszkowicz i baron Mengenstern, bo już był został za swój miły grosz, austryackim baronem (Ringstrasse baron).

Jednakże ta sielska wycieczka odbyła się niezbyt wesoło. Nacia była smutna i zdenerwowana; za to p. Mikołaj i pani Adeta prześcigali się w uprzejmości dla towarzystwa; najwięcej jednak słów grzecznych dostało się Mengensternowi — mniejsza zaś doza ale zawsze znaczna, Draszkowiczowi.

Mengenstern patrzył trzeźwo, widział że mu panna nie sprzyja, liczył jednak na starszą wła-

dzę, na matkę i na wuja; na ich przedstawienie i poparcie.

Z jakiem uczuciem Nacia miała zostać jego żoną? była to rzecz dodatkowa, byle tylko nią została. Świeży baron giełdowy wierzył w pieniądz i w to co on daje; wierzył że każdy, prędzej czy później, na takie wyznanie wiary przechodzi. Umyślił więc rozegrać partyę: chciał pomówić z p. Mikołajem i rzecz całą jasno przedstawić. Jakoż, skorzystał z pierwszej sposobności i zaprosił go na śniadanie do siebie.

Mengenstern sam jeść lubił, a wiedział że i wuj pięknej Naci miał ku temu gust także nielada, marzył więc słusznie że jak się sam naje, napije a nakarmii i napoi wujaszka także, to ugłaska go przecie, i ładnie a gładko, w okolicznościach tak przyjemnych, cały plan swój przeprowadzi.

VI.

Jakoż nazajutrz, w mieszkaniu przebiegłego konkurenta, dwóch biesiadników zajadało to wszystko co tylko wykwintny Paryż mógł dostarczyć najsmaczniejszego; wina nie żałowano, to też pod koniec uczty humorki obu były wyśmienite! Mengenstern trzymał się lepiej, przewodniczyła mu bowiem idea stała.

Wpadli w rozmowie na temat nowych kolei, jej zysków i przyszłości, którą gospodarz rozwijał, jak mistrz czarodziej. W tem wszystkiem jednak, jakaś, niby smutna brzmiała nuta—tu i owdzie zatrzymywał się, niekiedy dawał do zrozumienia że i inne ideały mogą być także w życiu.

Pan Mikołaj czuł dobrze do czego to wszystko zmierza; chciał jednakże by baron wygadał się do woli.

W chwili, gdy już zebrano nakrycia, gdy obadwaj, napół leżąc, ciągnęli dym z cygar, do przyległego pokoju wszedł Winerbrand, z pliką papierów pod ręką. Młody praktykant zdziwiony był rzewnym tonem rozmowy swego pryncypała z gościem, zatrzymał się więc u drzwi i zaczął podsłuchiwać.

Mengenstern dochodził właśnie wtedy do kulminacyjnego punktu.

— Wyznam panu—mówił do p. Mikołaja — że nieraz upadam na siłach. Praca, li tylko dla wzbogacenia siebie, nie opłaca się; są inne, potężniejsze dźwignie, taką jest ideał domowego ogniska i rodzinnego szczęścia.

— A! Jesteś pan zakochany, panie Mengenstern—wyrzekł Mikołaj;—przypuszczałem wprawdzie że to być może, ale żeby aż tak gwałtownie...

— Trudno inaczej!

— No, to winszuję, ale nie zazdroszę.

— Dla czego?

— Ha, proszę pana; my, ludzie pracy, wielkich zamysłów finansowych a może i politycznych, nie powinniśmy się kierować li tylko uczuciem.

Mengenstern tracił kontenans; widocznie pan Mikołaj cenił w nim bardziej zręczność kupiecką niż jakieś mrzonki; czuł że nie stoi dość twardo opierając się na wywodach w które sam niewierzył, postanowił więc w jednej chwili rozstrzygnąć kwestyę.

— Panie Mikołaju!—zawołał—wszak to dla oka pańskiego tajemnicą być nie może: kocham siostrzenicę pańską, proszę o jego poparcie!

Pan Mikołaj zwolna popatrzył na barona.

— Pierwszego, domyślałem się,—rzekł—drugie masz pan zapewnione, ale to nie przyda się na nic!

— Jakto, na nic?

— Na nic, powtarzam. Czy pan znasz przeszłość mojej siostrzenicy?

— Nie wiele dotąd. Co się tyczy położenia jej towarzyskiego i majątkowego, te znam dokładnie.

— Ależ, nie o to rzecz idzie. Czy wiesz pan

że Nacia była już zaręczoną przed wyjazdem z kraju?

— Słyszałem.

— Ale z kim—nie wiesz?

— Bogiem a prawdą, niedowiadywałem się o to. Bo i cóż dla mnie znaczy że panna Natalia miała narzeczonego, skoro jegomość ten zginął podobno? Przecież całe życie płakać po nim nie będzie!

— No, to ja krótko rzecz całą panu przedstawię — rzekł Mikołaj—a streszcza się ona w dwóch pytaniach i w dwóch płynących z nich konkluzyach: jeżeli narzeczony mojej siostrzenicy zginął, to za trzy miesiące zostaniesz pan jej mężem; jeżeli nie, to wybij to sobie z głowy.

— Ależ!—zawołał niecierpliwie Mengenstern —jakież ja na to mogę mieć dowody?

— Już ja w tem panu nie poradzę, dowody jednak są konieczne. Czy zginął czy nie? mniejsza o to!

Mengenstern wyprostował się, w brzydkich jego oczach jakiś promień ostry zaświecił—pojął o co chodzi i rzekł:

— Ha! postaram się o nie.

— Daj Boże!—wyszeptał Adeta.—Życzę panu tego tem więcej, że wyznam otwarcie, iż ta miłość Naci dla człowieka który jeżeli żyje, to niezawodnie stracił wszystko co posiadał, zatrważa mnie silnie; uważam to za wybryk serca nie-

potrzebny i niebezpieczny, który przyszłość mej krewnej narazić może. Oczywiście bowiem, niechciałbym ażeby posag Naci poszedł na opłacanie, mniejsza jakich, choćby i politycznych szaleństw tych ludzi... Pod tym względem, możesz pan liczyć na mnie i na matkę także. Dziewczyna przeboleje, zapomi, a życie jej dalsze pójdzie już jasnym torem.

Lecz p. Mengenstern nie słuchał już tych rozumowań pana Mikołaja; umysł ambitnego spekulanta był już czem innem zajęty, przemyśliwał on teraz nad środkami działania. Po chwili milczenia zapytał krótko:

— Nazwisko tego pana, jeżeli się nie mylę...

— Antoni Czujski.

Nazwisko to nie było obcem dla Mengensterna; pamiętał je jeszcze ze stosunków w kraju.

Wkrótce potem, pan Mikołaj pożegnał już swego wspólnika. Po zawarciu bowiem tak chwalebnej z nim ugody, uczuwał pewien niesmak.

Tymczasem Winerbrand przyklejony do drzwi słuchał, a słuchał uważnie. Przebiegły komisant odrazu objął całą sytuacyę i nim posiedzenie dwóch obradujących panów skończyło się, już w głowie jego powstał plan zupełny. Jednakże pewna uporczywa walka toczyła się w umyśle Winerbranda. Lubił on Czujskiego, a wytworzywszy sobie

już dawniej, jakieś, wprawdzie chaotyczne zasady koleżeństwa, nie chciał ich łamać. Z drugiej jednak strony, praktyczny spekulancki rozumek wskazywał agentowi, jego nieszczególne położenie obecne a zarazem możność zyskania bardzo wiele w krótkiej przyszłości.

Były takie minuty w których Winerbrand, oburzony tem co podsłuchał, zabierał się już do wyjścia i gdyby wydarzyła się była wtedy jakaś najbłahsza, sprzyjająca okoliczność, to w ciągu jednej godziny Czujski już byłby przy Naci. Lecz inne, egoistyczne rozumowania wyrugowywały takie chwilowe, lepsze popędy. Winerbrandowi zdawało się że ma już złota pełne kieszenie, że żyje w zbytku, że mu nie brak nawet szacunku u ludzi.

Dla usprawiedliwienia zaś przed sobą samym zdrady o której zamyślał, spekulant rozumował, że Czujski tylko by stracił na wiadomości o pobycie Naci.

— Na co mu ta dziewczyna?—myślał.—Zresztą, onaby go już teraz nie chciała znać pewnie! Lepiej więc zostawić go w nieświadomości i ją także, natomiast zaś wzbogaciwszy się samemu, dopomódz zdradzonemu koledze w potrzebie.

Rozumując w ten sposób, Winerbrand zawierał kompromis z własnem sumieniem.

Wtem, nagle, jakby go coś pchnęło aż na środek

saloniku po którym przechadzał się Mengenstern.

Stanął przed nim z twarzą wzruszoną.

— Przynoszę papiery — rzekł, podając plik gruby.

Pan baron bezmyślnie wyciągnął rękę, ale niezwykły wyraz oczu Winerbranda zwrócił jego uwagę.

Jakiś zły duch w tej chwili towarzyszył im obu.

— Dziękuję ci—mówił baron—teraz nie mam głowy żeby te papiery przepatrzyć. A kto wie? — dodał, zatrzymując się nagle. — Gdybyś znał moje kłopoty obecne, możebyś mi wczemś mógł poradzić.

— Znam i poradzę—odparł stanowczo Winerbrand.

Baron uśmiechnął się niedowierzająco.

— Nie uśmiechaj się pan. Chodzi tu o Czujskiego.

Mengenstern rzucił się gwałtownie.

— Więc wiesz?

— Więc wiem — wycedził rudawy komisant, a oczy mu błyszczały jakimś twardym, bezczelnym wyrazem.

Pryncypał wobec swojego agenta stał, jakby rażony piorunem.

— A Czujski?—wybełkotał po chwili.

— Żyje i ma się doskonale.

— Fatalność!—jęknął Mengenstern.

Winerbrand stawał się coraz spokojniejszy.

— Dla czego fatalność?—zapytał.

— Jakto! więc nie wiesz chyba wszystkiego.

— Przeciwnie, wiem najdokładniej, albowiem wysłuchałem uważnie tego wszystkiego co ci plótł ów stary cymbał.

— Winerbrandzie, mój drogi! Nie rozumiem cię... Co ty sądzisz o tem?

— Sądzę, że sprawa ta obchodzi cię bardzo i że dbasz o jej załatwienie pomyślne?...

— Ależ, tak jest, przyznaję.

— Więc zdecydowany jesteś poświęcić dużo pieniędzy i zabiegów?...

Magiczne to słowo powróciło nieco równowagi w rozszalałym umyśle bankiera.

— Tak—powiedział chłodniej—pewną kwotę.

— A! Zaczynamy już skąpić! Nie ma o czem mówić.

— Ależ Winerbrandzie.

— No, co?

— Powiedz mi gdzie jest Czujski?

— Gdzie? Oto, masz do wyboru: Albo 50 tysięcy franków, a wszystko pójdzie gładko; nawet dostarczę ci atestat dotyczący śmierci Czujskiego, albo za godzinę idź do tej panny a tam go zastaniesz.

Mówił szyderczo, spokojnie; czuł iż jest panem położenia i wyzyskiwał je bezczelnie.

— No, cóż, namyślasz się? Czujski jest u mnie pod ręką.

— Powiedz, gdzie?

— Powiem, jak się już zdecydujesz na to lub na owo.

— A jakąż ty mi dasz gwarancyę?—zapytał baron.

— W takich warunkach nie ma gwarancyi. Że Czujski i to Czujski Antoni żyje i jest w Paryżu, to rzecz pewna; że bez mojego pośrednictwa interes twój się nie uda, to także pewnik. Ryzykuj więc! O co ci chodzi? Wszakże pieniędzy masz dosyć; twoje czy cudze, dość że obracasz niemi. W rezultacie zaś, ty będziesz miał żonę o którą ci tak idzie, a ja pięćdziesiąt tysięcy franków. Podział to wcale nierówny,—i śmiesz żalić się jeszcze!

— Dobrze!—zawołał bankier—ale i ja także postawię moje warunki: pieniądze wypłacę, ale akt zejścia czy też świadectwo zgonu mieć muszę. A gdyby ten pan żył, to do czasu odbycia się mojego ślubu pokazać się nigdzie nie może.

— Przepraszam! Warunki te muszą uledz pewnej korekcie: Pieniądze wypłacisz zaraz, o świadectwo będziemy się starać wspólnemi siła-

mi, ale na twój koszt wyłączny; tak samo zajmiemy się wspólnie i ukryciem Czujskiego.

— Czemże mi to poręczysz?

— Interesem własnym, gdyż zaraz po ślubie wypłacisz mi jeszcze sto tysięcy franków.

— Zlituj się!

— A co, czy to nie najlepsza rękojmia? A i małżeństwo twoje będzie prawdziwym związkiem serc, z miłości, gdyż posag twej żony lub przynajmniej część jego znaczna, pójdzie na mój pożytek.

Giełdowy baron poruszył się niecierpliwie w fotelu, na którym przysiadł niedawno; rzucił spojrzenie gniewne w stronę swojego agenta a z ust jego drgających miały już wyjść, jakieś ostre, gwałtowne nawet wyrazy.

Wszystko to jednak trwało moment tylko. Widocznie Mengenstern bystrym z natury umysłem ogarnął całą sytuacyę bieżącą a czując że inaczej postąpić nie może jak pójść za radą Winerbranda, powstał i wyciągając rękę, rzekł krótko:

— Przystaję!

— Więc proszę o 50 tysięcy zadatku; są w kasie, sam je wczoraj przyniołsem.

Mengenstern przeszadł się, raz i drugi po pokoju, potem stanął przed kuzynkiem, ręce skrzy-

żował na piersi, wpatrzył się w Winerbranda przenikliwie i wycedził pytanie:

— A gdybym ci nie dał tych pieniędzy?

— To Czujski wróci zaraz do swej bogdanki. Niech choć ten zostanie szczęśliwym! A kto wie, może i ja sam także lepiej na tem wyjdę...

— A! zaczynasz śpiewać na tkliwą nutę! — zawołał ironicznie baron.

— Daj pokój! — przerwał Winerbrand gwałtownie.—Tu, między nami prowadzi się targ tylko; o uczuciach radzę ci`niewspominać wcale!

Bankier zadrżał; dostrzegł w tej chwili że w duszy jego komisanta zatliła się jakaś niedogasła, szlachetniejsza iskierka. Zrozumiał grożące niebezpieczeństwo. Trzeba więc było co prędzej zgasić tę iskrę błędną.

W przyległym pokoju zamek od kasy żelaznej zadzwonił dwa razy, a w minutę potem Mengenstern stał przed krewniaczkiem swoim z 50 banknotami w ręku.

Winerbrand patrzał obojętnie lub może nawet nie patrzał wcale na tę złotą pokusę; myśl jego zwróciła się do *quartier latin* w tej chwili...

Zniecierpliwiony baron zaszeleścił banknotami.

— No, masz coś chciał!—zawołał.

Winerbrad wyciągnął rękę, poczciwszy odblask chwilowy, zniknął mu z oczu i kurczowościsnął w palcach podane banknoty.

— Stało się!—pomyślał z jakiemś żalu westchnieniem i zaczął mówić szybko:

— Teraz, już należy ci się odemnie zupełne objaśnienie. Słuchaj! Antoni Czujski żyje i pracuje u nas w biurze pod przybranem nazwiskiem Przemelskiego.

Bankier osłupiał.

— Przepadłem!—wyszeptał, a potem zwracając się do swego agenta zawołał oburzony: — A! Winerbrand! Podszedłeś mnie zdradziecko — i godzi-ż się to!

— Godzi się zupełnie, bo jest na wszystko rada.

— Ciekawym jaka?

— Bardzo łatwa; trzeba wysłać obu tych panów z Paryża.

— Jakto! jest aż dwóch?

— Tak, dwóch. Przemelski, to jest Czujski i Młoński czyli Szufla. Otóż, trzeba przeszuflować ich obu.

— Cóż znowu znaczy ta jakaś Szufla?—krzyknął niecierpliwie baron.

— Poczekaj! Nie zaperzaj się... Szufla i Czujski są to dwaj nierozdzielni; jeden bez drugiego nie oddali się nigdzie, a gdyby nawet tak było, to czy Szufla czy Czujski wpadnie na trop panny Natalii, skutek będzie jeden. Nawet z tym litwinem trzeba być ostrożniejszym jeszcze.

— A zatem?

— A zatem, wziąwszy od ciebie 50 tysięcy franków, czuję się w obowiązku, najprzód... zarobić jeszcze sto tysięcy — powtóre obmyślić i wykonać wszystko dla dobra mego pryncypała. Otóż, mamy stosunki w Marsylii, i tam umieścimy obydwóch naszych bohaterów, rozumie się z podwyższoną płacą. Będą mieszkać nad samym portem w Domu handlowym p. Dumetier. Trzeba będzie, proponując im to przesiedlenie, położyć główny nacisk na czekające ich tam wynagrodzenie hojne, a panu Dumetier dać odpowiednią kompensatę. Nie dosyć jednak na tem! Oprócz wyjazdu z Paryża trzeba ich zmusić nadto jeszcze, do ukrywania nazwisk jak najdłużej a nawet do ogłoszenia swej śmierci w kraju, zkąd znowu, prędzej czy później, radosna ta dla nas nowina aż tu przyleci. No cóż, czy jasno?

— Dotąd jasno w teoryi. Ale wykonanie...

— Pieniądze i zawsze pieniądze! Oto co wykonanie ułatwi i zapewni. Pierwsze i drugie, inaczej mówiąc wyjazd z Paryża i ukrywanie rzeczywistych nazwisk bohaterów, mam zapewnione; trzecie, t. j. ogłoszenie o śmierci, jak wymódz i jak upozorować? nie wiem jeszcze; i to wszakże zrobi się pewnie. Teraz jednak idzie o rzecz najgwałtowniejszą...

— O co?

— Daj dziesięć tysięcy franków!

— Nie dam!

— Niedaj! Ale umowa nasza opiewa, że wszelkie działanie w tej sprawie odbywać się będzie twoim kosztem. Zrywaj więc ten warunek, jak chcesz, co mnie do tego?

— Ależ rękojmia, jakaż dla mnie rękojmia, że za te pieniądze...

— Dostałeś bzika z temi gwarancyami ciągłemi. No, jeżeli akcyonaryusze waszej kolei zaczną w ten sam sposób traktować interesa i wrzeszczyć: gwarancya! gwarancya! i nic, tylko gwarancya! to niewiem co im odpowiecie na to? Więc, stanowczo nie dasz?

— Dam ci pięć tysięcy, jeżeli się przekonam że masz plan dobry.

— Ależ, to nie dla mnie! Ja grosza nie tknę z tej kwoty, bo użytą ona zostanie w tym interesie.

Wreszcie, wyrzekł po chwili:

— Dasz 3 tysiące rubli i to w rublach koniecznie.

— Dla czego, na co? Objaśnij-że mnie przecie...

— Poślemy te trzy tysiące rubli Czujskiemu i Szufii, niby to z kraju, wraz z listem od znanego mi krewniaka pierwszego, w którym on bę-

dzie ich zaklinał ażeby jak można najdłużej trzymali się zdaleka i nie wymieniali swoich nazwisk prawdziwych; żeby nawet Paryż opuścili, gdyż inaczej, położenie ich rodzin w kraju i byt ich materyalny będą bez ratunku.

— I sądzisz że to ich zmusi?

— Naturalnie! zmusi i przekona.

— Ależ, to mnie kosztować będzie za drogo.

— Bądźmy sprawiedliwi—i im, choć w części krzywdę jaką czynimy wynagrodzić trzeba; jak damy mniej, mogą nieuwierzyć; rodziny tych panów są bardzo zamożne...

— Uf! — westchnął Mengenstern—preludya kosztowne! Panna Natalia wymaga nakładu!

— A i panna *Mina la hollandaise* wymagała także nakładu, a przecież porównać je z sobą trudno.

Bankier uśmiechnął się.

— Powiadam ci Winerbrand — rzekł — jeżeli cię nie powieszą dojdziesz do potęgi.

— Dziękuję za wróżbę i postaram się o jej spełnienie. A teraz, proszę o chwilę wolną, a także o papier i pióro; trzeba zredagować list i przepisać go lewą ręką ażeby charakteru mego nie poznali.

Jakoż Winerbrand zabrał się do dzieła a po upływie kwadransa przyniósł dokument następującej treści:

„Moi drodzy!

Z radością i bólem serca piszę do was: z radością iż was odszukałem, z boleścią że interes wasz i mój, niepozwala mi was uściskać. Bóg łaskaw! w Jego opiece i miłosierdziu miejcie nadzieję. Ciężkie dnie teraźniejsze przeminą i może wkrótce będziecie mogli oglądać tych do których sercem należycie. Pomyślicie może, iż niewidzenie się moje z wami jest ostrożnością zbyteczną, przesadą, dziwactwem? Przypuśćmy iż tak jest—lecz i ja także przeszedłem wiele! Gdybyście widzieli jak mi serce biło, gdym czatując w powozie, widział was przechodzących!

„Adam tak zmężniał—a ty, mój Antosiu, moje dziecko drogie, czegoś mi smutno wyglądasz! Nie trwóż się, nie męcz, są serca wierne i kobiety uczciwe... Pisałem do was pierwej, więc teraz nowin żadnych z domu nie przesyłam; nic się tam na gorsze nie zmieniło—tylko, zaklinam was, urządźcie się tak obecnie—aby na rok jakiś ślad o was całkiem zaginął.

„Nie posyłałem wam pieniędzy, bo trudno o nie było a i przesyłka niebezpieczna; teraz daję wam tyle że to na dłużej wystarczyćby powinno. Choć wiem że żyjecie ustronnie od świata polskiego, widać że niedość jeszcze, skoro ja tak prędko o was wywiedzieć się tu mogłem. Wydalcie się więc lepiej na teraz, z Paryża, a gdybym, tak

jeszcze, mógł na czas jakiś, wykazać iż nie żyjecie, toby ułatwiło zupełnie te całe gmatwaniny majątkowe, jakie nas krępują. Jeżeli można, dopomóżcie mi to zrobić. Wieścią o zgonie waszym, oczywiście fałszywym, niezaniepokoicie nikogo z blizkich, gdyż wszystkich takich o istotnym stanie rzeczy uwiadomię. Braku wiadomości od nas przez czas pewien, choćby dłuższy nieco, nie składajcie na zapomnienie, ale na karb raz ukartowanego planu, do którego wszyscy co was kochają stosować się muszą.

A teraz, bywajcie zdrowi! Nie chcę byście wiedzieli kto do was pisał—boję się wszystkiego i wszystkich! Widziałem was i oczy moje pocieszyły się tym widokiem. Bogu miłosiernemu was polecam! On niech czuwa nad nieszczęśliwymi. Posyłam wam tymczasem trzy tysiące rubli, w papierach bankowych; sami je sobie zmieniajcie— ja, wyjeżdżam w tej chwili".

Gdy Winerbrand skończył czytać, Mengenstern popatrzył nań z uwielbieniem, wreszcie zawołał:

— Ha! przeszedłeś wszelkie moje oczekiwania.

— A widzisz! Możnaby przysiądz że tę epistołę nabazgrał jakiś poczciwy, stary wujaszek, przestraszony, bogobojny i kochający. Cóż, czy uwierzą temu głosowi zbawcy, popartemu argu-

mentem 3,000 rubli? Chyba byliby idyotami! Każdyby zresztą uwierzył. Dotąd więc, wszystko jest doskonale, lecz jak uzyskać sepulturę lub zeznania świadków? Postępujmy konsekwentnie: napierw jedno, potem drugie. Dziś jeszcze pójdę do nich — wtrącę od niechcenia że proponują mi zajęcie korzystne w porcie w Marsylii, i koniec na tem. Jutro rano pojadę do Rennes, z Rennes wyślę im pieniądze i list pocztą. Po odebraniu tego wyspowiadają mi się, choć w części, gdy do nich przyjdę. Trzeba też liczyć coś i na szansę—zresztą, zobaczymy! No, co się stało, to się stało; proszę o 3 tysiące rubelków. A teraz, jeszcze jedna uwaga: ty ze swojej strony a ja ze swojej, starajmy się pospołu powstrzymać osoby nas interesujące ażeby się z mieszkań nie wydalały choć przez dni kilka.

To rzekłszy Winerbrand zabrał pieniądze i dwaj kuzyni rozeszli się.

VII.

Dziwne uczucia ogarniały ich obu.

Mengensteru, zatwardziały grzesznik, widział interes swój w ruchu, widział całą rzecz puszczoną w bieg i jako prawdziwy geszeftsman zapalał się coraz bardziej, gotów nieszczędzić kosztów i zabiegów. Winerbrand przez jedną chwilę stał

na przełomie. Przełom już nastąpił; sprzedał on kolegów za srebrniki—pocieszał się jednak tem, że mają 3 tysiące rubli, oraz posady korzystne; że bądź co bądź, panna nie wyszłaby za Czujskiego; że wreszcie on sam, Winerbrad, stanie się teraz możnym i kolegom zdradzonym dopomagać będzie. Zwykłe to rezonowanie wszystkich początkujących łajdaków!

Teraz, zdrajca szedł do nich. W biurze na ulicy Casimir Delavigne nie zastał żadnego. Obaj już wyszli do domu. Siedzieli tam w pokoiku, w którym ani nieładu studenckiego, ani brudu nie widać było wcale. Pokoik czysty dobrze utrzymany, rzekłbyś że w nieobecności ręki, myśl uczciwego domu wionęła na mieszkanie jakimś spokojem i przyzwoitością. Winerbrand wzburzony przejściami dnia tego, wszedł hałaśliwie, niby wesoły...

— No, cóż porabiacie?—zawołał zaraz w progu — żyjecie jak husyci, nigdzie was nie widać; nawet do mnie nie zajdziecie nigdy.

— Do ciebie—odparł Antoni,—wszak wiesz, jak mało mamy czasu; a ty mój drogi, nie gniewaj się na nas, my ciebie za obcego uważać nie możemy, ztąd i z formalnościami wizytowymi rachować się nam nie przystoi.

Szufla pracował przy biurku, Antoni leżał na

sofie: zdjął surdut, odpiął zegarek z łańcuszkiem, położył go na stole i odpoczywał.

— Siadaj Winiu! i powiedz co nowego—rzekł.

Winerbrand usiadł. Jakoś markotno mu się zrobiło. Nowych rzeczy wiedział on wprawdzie sporo, lecz, niestety! musiał je trzymać w ukryciu.

— Paryż już mi się sprzykrzył,—rzekł— pojadę nad brzeg morza, to zabawniejsze. Zresztą, mógłbym nawet z łatwością stałe zajęcie dostać w Marsylii.

— Winszuję gustu! Ja wolę Paryż zawsze; można się tu kogoś doczekać—zauważył Antoni.

— A więc, może i ty czekasz?

— Kto wie, a ty?

— Ja, na nikogo. Ale ty wyglądasz mi coś podejrzanie—ot tak, na człowieka zakochanego po uszy.

— Zdaje ci się, a wreszcie gdyby nawet i tak było, to cóż?

— To źle, to bardzo źle!

— Dla czego?

— O, moj drogi! Jeżeli to jest miłość dawniejsza, produkt jeszcze krajowy, to wybij ją sobie z głowy. Teraz panny takie praktyczne, a emigrant, goły! Cóż znowu? zwaryowałeś chyba, lub drugich masz za waryatów.

— Może masz słuszność w ogólności — lecz są przecie wyjątki...

— Ba! rezonowanie zaszłapanego szlachcica! Każdy myśli że jest wyjątkiem lub że wyjątki są dla niego. Złudzenie! Radzę ci rzuć mary, jeżeli gonisz za niemi. Naśladuj raczej twych hotelowych towarzyszy. Rano, przed drzwiami każdego z nich, stoi para butów męzkich i para zgrabnych damskich bucików. Czy to ci nic nie mówi? czy domyślny słuchacz niczego w duszy swej nie dośpiewa?

Mówiąc tak, Winerbrand oparł się ręką o stół i machinalnie począł się bawić zegarkiem Antoniego. Przy srebrnym łańcuszku, złożonym z ogniw dużych jakie wówczas noszono, wisiał takiż medalion, bardzo misternej roboty. Ciekawy Winio chciał go otworzyć.

— Przepraszam cię!—rzekł Antoni—nie otwieraj.

— A! tajemnica. Zapewne są tam relikwie, bogini serca?

— Myśl co chcesz, lecz nie otwieraj.

Winerbrandowi potężny, genialny pomysł nagle strzelił do głowy.

— Mam sto tysięcy w kieszeni — mruknął i odsunął zegarek.

— Nie wychodzicie dziś nigdzie?—zapytał.

— Nie.

— A wieczorem?

— Wieczorem musimy dokończyć robotę, a chcemy także, na ryzyko, raz jeszcze napisać listy do domu.

— Ej! nie radzę! Wstrzymajcie się jeszcze. Jeżeli jednak chcecie ujawnić już wasze prawdziwe nazwiska, to możnaby się znieść z krajem za pomocą Mengensterna.

— Nie—lepiej zaczekać jeszcze.

— Jak chcecie! Tymczasem, jutro zapraszam was na kolacyjkę, tu u was, w hotelu.

— Dziękujemy ci, ale...

— Bez ale! jutro czekajcie na mnie wróciwszy tu wprost z biura.

Winerbrand oddalił się szybko —gorączka go trawiła! Widział już przed sobą srebrniki—skrupuły ucichły, okoliczności układały się jak najpomyślniej.

— A teraz, do Rennes!—wyrzekł sam do siebie — jutro nie wyjdą gdyż będą na mnie czekać; pojutrze wrócę i zaproszę znów na ową kolacyę; w dzień później otrzymają list i pieniądze, więc już sami nie wyjdą, a potem... O! przez te trzy dni dowiodę śmierci Czujskiego, czarno na białem, franki będą moje i cała przyszłość do mnie należyć będzie. Pokażę ludziom jak się to robi miliony. Ten głupi Mengenstern!

Rozumując tak i marząc, o mało że nie wpadł

w malignę; szedł piechotą potrącając przechodniów, czuł że w powozie nie dosiedzi. W takim marszu forsownym wpadł na rue de la Paix i tam go ktoś za ramię przytrzymał.

— Gdzie tak pędzisz, panie Winerbrand?

— A, to ty Mengenstern! Pytąsz gdzie idę — ba, muszę cokolwiek posilić się, gdyż zaraz potem siadam na kolej i jadę do Rennes.

— Pójdę z tobą paręset kroków. Cóż tam słychać nowego?

— Za dni kilka będziesz miał wszystko — wszystko! rozumiesz?

— Jakto, i sepulturę?

— Coś lepszego jeszcze...

— Lepszego? Więc chyba widok samego trupa w la Morgue? — I rzekłszy to skrzywił się nieco.

— Tak źle nie będzie! Policya zbyt czujna. Zobaczysz jednak. Tylko o moich stu tysiącach nie zapominaj.

— Dam teraz, tylko 20 tysięcy.

— To się cofnę.

— Wątpię.

— Nie wątp! Więc ty bierzesz pannę bogatą, wciskasz się we wszystkie towarzystwa, rumuńskie, polskie, angielskie, francuzkie — gdzie zechcesz—i zaczynasz skąpić? No! mój drogi,

jesteś kupczykiem na drobną skalę—nie zaś finansistą wielkim.

— Ależ, resztę wypłacę ci po ślubie.

— Nie chcę! To do mnie nie należy.

— I owszem! Lecz o tem potem—boć jeszcze daleko.

— Przeciwnie, blisko; bliżej niż sądzisz...

— Chcesz mnie doprowadzić do szaleństwa. Bywaj zdrów!

— Do widzenia. Tylko przypominam: rób jakie chcesz figle, a pannę w domu przez dni parę zatrzymaj.

Winerbrand znużony fizycznie, wzburzony moralnie, siadł do wagonu. Natura wyjątkowo szczęśliwa pogrążyła we śnie wzruszenia i rudowłosy komisant spał w najlepsze gdy pociąg dochodził do Rennes.

Tam, tyle tylko miał czasu aby zdać list z wartościami na poczcie, chwycić drugi pociąg i ruszyć z powrotem do Paryża.

Tymczasem, przyjaciele nasi daremnie wyczekiwali Winia. Poczciwi chłopcy nie przypuszczając w jaką łapkę wpadli, lubili człowieka któremu zawdzięczali kawałek chleba, acz twardy. Wieczór przeszedł im na gawędce, gdy wtem służący Winerbranda przyniósł karteczkę adreso.

waną do Antoniego, w której uwiadamiał, że dziś przyjść nie może, ale zapraszał ich na jutro.

Smutek, niepewność, ciągły niepokój lub złe nowiny i na młodych ludzi nie działają zbawiennie—przynajmniej na wielu.

Czujski i Szufla dziczeli. Praca zajmowała im trzy czwarte dnia — resztę używali na zwiedzenie tego co było warte, trochę na spacery, wiele na gawędki ze sobą. Szereg dni tak im upływał.

Pierwsze kroki dla wywiedzenia się co się też stało z osobami ich sercu drogiemi, pozostały dotąd bez skutku. Uczucie Antoniego dla Natalii nie zmalało, owszem kochał on narzeczonę całą potęgą duszy i wierzył jej — lecz nawał przejść różnych i nieszczęść wstrząsnął w nim zasadami wiary we wszystko—wierzył, ale mógł i niewierzyć, byle okoliczność jakaś podała cień wątpliwości. I niedziw! Przykłady nie były budujące. Widział wielu okrytych dobrodziejstwami odpychających dobroczyńców swoich; widział rodziny wypierające się swoich najbliższych; znajomych niepoznających wczorajszych przyjaciół, a widział także i narzeczonych którzy ze swobodą i wdziękiem, przechodzili do innych, odmiennych duchem, myślami i dążnościami osób. Wprawdzie stawiał on Nacię wyżej, lecz ból go szarpał—bał się zwiększyć go i zabić w sobie resztki

wiary, czując iż po za obrębem prawd religijnych, jego, i tak już nadwątlone wierzenia i ideały ludzkie, wraz z utratą wiary w tę istotę, runą bezpowrotnie!

Czujski z trwogą oczekiwał chwili, w której spotkanie lub zniesienie się listowne, zerwie ostatnią zasłonę, ostatnią chwilę szczęścia i złudzeń— a potem wyrzucał znów sobie, że jest małodusznym i wierzyć już nie umie!

Wierzył więc, ale czekał aż czarnooka dziewczyna zejdzie do niego i jednem słowem, spojrzeniem, wszystkie te złe myśli rozwieje.

Lecz i Szufla tym stanem wyczekiwania niecierpliwił się także.

— Nie kocham się w żadnej heroinie marzeń — mawiał—lecz kocham moich starych, i... goły jestem djabelnie!

Postanowili więc ponowić kroki. O Griczach żadnych dotąd nie odebrali wieści—wiedzieli tylko, że stary zmarł i na tem koniec. O paniach —nic—i to tem konsekwetniej, że po nowiny udawali się do kraju, gdy tymczasem matka i córka już dawno ztamtąd wyjechały.

Tymczasem, Winerbrand pędził pośpiesznym pociągiem z Rennes i rano był już z powrotem. Wprost z dworca kolei, udał się do Mengensterna.

Szanowny pryncypał nie spał—czekał wido-

cznie przybycia swojego genialnego krewniaczka — przywitał go też radośnie.

— Cóż mi przywozisz?—zapytał.

— Na teraz, tylko pokwitowanie z wysłanych pieniędzy; jednakże każ mi dać herbaty a rozgadam się więcej może.

Herbata była gotowa. Winio nalał sobie szklaneczkę, wyciągnął się w fotelu i przymknął oczy.

Zuchwały agent odkąd się poczuł panem położenia, sposób jego obejścia się uległ także radykalnej zmianie: z potulnego stał się hardym, nie liczył się bardzo ani ze swemi zdaniami, ani ze sposobem ich wyrażania.

Mengensterna gniewało to nieco; milczał jednak wiedząc ile mu na utrzymaniu harmonii ze swym agentem zależy.

— No, cóż? udajesz husytę—ofuknął nareszcie;—zamknąłeś oczy i nic nie mówisz.

— Odpoczywam, zbieram myśli, kombinuję.

— I cóż wykombinowałeś?

— Wiele — za dni dwa potrzebuję być w możności przedstawić dowody śmierci Czujskiego pannie samej. Twoja to rzecz wyjednać mi to posłuchanie u niej.

— Jakżeż ja to urządzę?

— No, a tenże stary opiekun, z którym miałeś konszachty.

— Ach, tak.

— Domyślże się reszty...

— Rozumiem — odparł Mengenstern.—Ale, powiedz mi z czem staniesz, jaki przedstawisz dowód?

— Bardzo prosty. Wiadomo przecież że tam, na pobojowiskach, sepultur żadnych nie robiono — więc, gdyby naprzykład fotografię, medalion, słowem coś takiego co stanowi pamiątkę daną narzeczonemu przez ukochane ręce — ot! dajmy na to, medalion kulą przeszyty, pokazano Naci? Przytem, oczywiście, byłoby opowiadanie naocznego świadka! Wierz mi, że dla niej byłby to dowód. Zresztą, cała ta rzecz do mnie należy — odpowiadam za skutek dobry. Lecz potrzeba żebyście wy znowu, wpierw jeszcze, opowiedzieli bohaterce iż wpadliście na trop pewny; że jest ktoś taki co z Czujskim był ciągle do ostatniej chwili i że da o nim najwiarogodniejsze wieści.

— A jeżeli — bełkotał Mengenstern — jeżeli pomimo to wszystko ona nie uwierzy, i wyjść za mnie nie zechce?

— To już do mnie nie należy — ale do ciebie. Cóż u licha! Bądź miły, grzeczny, słodki, poetyczny, zachwycający! Zresztą przypuszczam, iż kobieta która kochała i to bardzo, powinna wpaść w rodzaj znieczulenia na czas jakiś po otrzymaniu tak gnębiącej, o zgonie kochanka wieści—wtedy, można zrobić wiele byle nie zwle-

kać; wtedy, niech działa szanowna kompania, ta która ją otacza... mama, wujaszek...

— Masz słuszność, ryzykować trzeba!

— I brać co się brać daje—dodał Winerbrand. —A teraz, proszę o zaliczkę.

— Cóż znowu?

— Ha! taka nasza umowa —więc proszę o 20 tysięcy franków i o weksel na resztę—bez tego nic!

— Dwadzieścia tysięcy franków dam, bo muszę—wekslu nie, ale masz moje słowo.

— Niech i tak będzie. Ostrzegam jednak, że jeśli zaczniesz skąpić i słowa nie dotrzymasz w czemśkolwiek, to albo do ślubu nie dopuszczę lub zaraz po ślubie powiem pannie wszystko. Wtedy, bratku, posagu nie liźniesz i stosunki przepadną wraz z całym twoim dotychczasowym „nakładem“.

— I tybyś to zrobił?

— Wątpisz?—wycedził Winerbrand. — Czyż ta cała pomiędzy nami sprawa może cię do złudzeń doprowadzać? A to mi czuły chłopczyk!

— Ha! więc i na to przystaję.

— Byle tylko „ją“ posiąść—kończył Winerbrand—a do tego i posag ukochanej i majątek bezdzietnego wujaszka i stosunki... Doprawdy, to czysta idylla!

Mengenstern powstał a uśmiechnięty dumnie uderzył się ręką po czole i rzekł:

— Niegłupim—co?

Winerbrand przedrzeźniając pryncypała uczynił toż samo: jeszcze głośniej palnął się po czole a potem rzekł:

— I jam nie głupi także! Więc przynieś franki.

— Zaraz — odparł bankier — idę, Winiu! Wierz mi, że assocyacya jest duszą 19-go wieku.

— Brawo!—zawołał rudy.—Dawaj geld!

Baron powrócił ze zwitkiem banknotów.

— A teraz,—mówił Winio—uważaj dla czego potrzebuję dwóch dni, nie mniej ani więcej dla złożenia dowodów. Otóż, dwaj bohaterowie nasi pieniądze odbiorą dziś; zechcą pewnie wyjeżdżać. Pierwej już powiedziałem im, że ofiarowywano mi miejsce w Marsylii—teraz dodam, że i dla nich także się tam coś lukratywnego znajdzie. Pojadę więc tam zaraz. Czujski ma fotografię panny ukrytą w medalionie—muszę mieć ten klejnocik choćby na godzinę w ręku. Pokażę go pannie—no, i we wszystko uwierzy.

VIII.

Na ulicy d'Isly, w domu pani Gricz życie szło swoim trybem: przechadzki, wizyty, teatr,—a nad tem wszystkiem smntek jednaki.

Biedna Nacia nie podejrzywała, ażeby komuś mogło zależeć coś na tem iżby ona nie została żoną Antoniego—niemniej przeto zauważyła pewną opieszałość w poszukiwaniach do jakich naglił wuja. Złej woli w nim nie przypuszczała, lecz obwiniała go o brak woli.

Na tejże samej ulicy, w sąsiednim domu, mieszkała jakaś bezdzietna polska dama wraz z mężem. Był to *un menage distingué.* Nacia spotkała się z tą parą w jednym z domów francuzkich, u pp. Avectout—przekonała się jednak wkrótce, że państwo ci niemają prawie żadnych stosunków z polską kolonią w Paryżu; rachuby więc jakie oparła na tem, znikły.

Działo się to zaraz w pierwszych dniach po przyjeździe do Paryża, w dniach najsmutniejszych. Dnie te przeszły—nastały inne, a wraz z niemi konieczność energicznego już działania.

Z okien swych widywała Nacia ludzi przyjeżdżających lub przychodzących do owych sąsiadów. Byli to, po większej części, cudzoziemcy—z polaków dwóch tylko częściej tam pokazujących się zwróciło jej uwagę: pierwszy, wysokiego wzrostu, z wąsami blond z rudawym odbłyskiem, zarywał coś z wojskowego typu; drugi, mały, z faworycikami ciemnemi, nieźle ubrany, miał jakąś burszowską studenta minę. Pierwszy był to Władysław Zbysz, drugi nazywał się Podoski.

Nacia miała pokojówkę—niestety! nie była to już, znana nam panna Klara. Wiadomo że w życiu dam, panny służące odgrywają nieraz dość ważne role — nic przeto dziwnego że i teraźniejsza subretka Naci, niejaka panna Franciszka do ważnej misyi powołaną została.

Panna Franciszka nieznała wprawdzie Czujskiego z osoby, ale znała za to, smutki swej pani, a będąc sama także młodą i ładną dziewczyną, pojmowała te cierpienia. Przytem, hojność Naci coraz to potęgowała przywiązanie służącej.

Podejrzenia o opieszałość w poszukiwaniach przez matkę i wuja, dotyczących Czujskiego, kołatały do główki Naci coraz częściej —postanowiła więc działać na własną rękę.

Dziwnym zbiegiem okoliczności prawie w tejże samej godzinie gdy odbywała się narada Winerbranda z Mengensternem, odbyła się także inna, mianowicie zaś pomiędzy Nacią Gricz a panną Franciszką. Wskutek tego panna służąca, poświęcając się dla swej pani, miała odtąd kołatać do drzwi wszystkich znakomitszych polaków bawiących w Paryżu, by powziąść wiadomości o Czujskim. Najpierw jednak postanowiła wywiedzieć się o Zbysza i Podoskiego gdyż to jej przyjść miało najłatwiej. Ruszyła tedy w trop, za jednym i drugim. Zbysz prędzej został wykryty, za Podoskim czwałowała aż do hotelu Jacob.

Dziwnem losu zrządzeniem, w hotelu tym spotkała się z Czujskim i Szuflą.

Panna Franciszka widywała fotografie obydwóch u swojej pani; coś ją więc jakby tknęło: chciała biedz i zapytać. Lecz, polska panna służąca bywa zwykle nieśmiałą w Paryżu; więc tedy i panna Franciszka, jako nieodrodna, zażenowała się jakoś i nieśmiała zaczepić dwóch młodych, nieznajomych ludzi.

— Tó wszakże niestracone — pomyślała sobie. — Zresztą, ci panowie może są francuzami i gotowi mnie wyśmiać jeszcze.

Będąc już w hotelu, panna Franciszka zeszła na dół i tam, na liście lokatorów wyczytała nazwiska: Przemelski i Młoński, jako należące do owych dwóch panów.

Roześmiała się poczciwa dziewczyna, myśląc:

— A tożbym dopiero ładnie wyszła, zaczepiając ich niepotrzebnie!

Potem zaraz wsiadła do fiakra i powróciła do domu.

Zdarzenie to pokazało jednak, na jak wątłej nitce zawisły rachuby Winerbranda, i od jak drobnego zdarzenia zależało szczęście dwojga ludzi!

Lecz i Winerbrand niepróżnował także, bo gdy panna Franciszka zdała Naci relacyę ze swej wycieczki a ta znów zapragnęła, bądź co bądź,

pójść osobiście do hotelu Jacob by tam dowiedzieć się czegoś—ręka Winerbranda zaciążyła na niej. Albowiem Mengenstern, idąc za jego radą, wraz z p. Mikołajem, ułożyli taki program dnia tego, że Nacia w żaden sposób nigdzie sama wydalić się nie mogła.

Lecz—nie uprzedzajmy wypadków.

Winerbrand ukartowywał na środę swoje coup d'état.

Wycieczka panny Franciszki miała miejsce dniem pierwej — wróćmy więc do Winerbranda i Mengensterna by zobaczyć, co też porabiają ci dwaj sprzymierzeńcy pokrewni?

W poniedziałek, między drugą a trzecią godziną, do mieszkania pana Mikołaja wchodził baron Mengenstern i zaraz po przywitaniu przystąpił wprost do rzeczy.

— Stosownie do pozwolenia pańskiego, — rzekł—poczyniłem kroki dotyczące ex-narzeczonego panny Natalii.

— I doprowadziły one?...—przerwał, nadstawiając uszu wujaszek.

— Do smutnego sprawdzenia zgonu nieszczęśliwego chłopca.

Po ustach Adety przemknął uśmiech zimny, pogardliwy.

— Dobrze, rozumiem, umarł ten biedak—wy-

rzekł, i popatrzył prosto w oczy Mengensternowi.

Takiż sam uśmiech wykrzywił twarz barona. Zrozumieli się...

— Otóż—ciągnął dalej Mengenstern—ponieważ tak jest, przyszedłem zapytać pana o radę.

— Rada łatwa—przedstawić dowody, a potem rzecz się już sama ułoży.

— Lecz, jakie dowody? Czy naoczny świadek zgonu wystarczy?

— To zamało!

— Ależ on dowiedzie, czarno na białem...

— Jakże dowiedzie?

— To już nie moja rzecz; rezultat jednak zanadto dla mnie jest ważnym, ażebym miał się spuszczać na rzeczy nie pewne. Zresztą, nie odważyłbym się...

— Ależ, panie baronie, racz mnie objaśnić co ja tu pomódz mogę?

— Wiele! Oto, poprowadzić sprawę tak, ażeby jutro a najdalej pojutrze—to zresztą zależy od okoliczności — osoba którą panu wskażę, mogła rozmówić się osobiście z panną Natalią.

— Któż to jest?

— Winerbrand, mój krewny.

— Przepraszam, ale to pomyślane bardzo niezręcznie.

— Nie ma innej rady—zresztą, Winerbranda te panie nie znają.

— Dobrze, co przyrzekłem dotrzymam, ale uprzedzam że będzie fiasco.

— Nie będzie.

— Dla ostrożności jednak, niechże ten pan nie figuruje jako Winerbrand. Jakie ma imię?

— Ferdynand.

— Bardzo ładne! Więc będzie tylko panem Ferdynandem. Możesz pan liczyć na mnie. Dziś mamy poniedziałek, na środę więc zostawimy wielkie rozwiązanie sprawy. Przyznam się panu, że mnie, to tak uporczywe uczucie dziewczyny nudzić już zaczęło. Gdyby nie ja i matka, popełniłaby może jakie szaleństwo.

Mengenstern milczał zawzięcie—wziął kapelusz, wdział rękawiczki i zabierał się do wyjścia.

— A propos — dodał pan Mikołaj —czy pan wiesz, że posiadam dużo akcyj kolei rumuńskich?

— Domyślam się—odparł Mengenstern.

— Otóż, czy nie dałoby się zrobić spekulacyi drobnej? Tak naprzykład: akcye te stoją dziś, niby nieźle—więc je zaraz sprzedam. Otóż, gdyby jutro spadły, tobym je kupił znowu, rozumie się taniej bardzo. Operacya krótka, złego nic nie ma, a zarobek ponętny.

— To znaczy — rzekł Mengenstern — że ja dziś publikuję incognito, artykuł dowodzący iż o-

statecznie koncesya na tę kolej jeszcze nieuzyskana, jutro wpadam na giełdę i ciskam cały plik „rumunów“ na sprzedaż; zamną podążą inni. Rozumie się że w takich warunkach, akcyj onych nikt nie kupuje, więc cena ich spada—pan jednak kupisz je odważnie lecz... tanio. Pozajutrze zjawia się zaprzeczenie owych, o braku koncesyi pogłosek i „rumunowce“ lecą w górę!

— Ślicznie i jasno—odparł Mikołaj Adeta, biorąc go za ramię—ślicznie! Dziś więc sprzedać mogę?

— Najspokojniej! Do widzenia.

— Do widzenia.

— Assocyacya jest duszą 19-go wieku! — mruknął Mengenstern odchodząc.

Mikołaj Adeta przeciągnął się w fotelu.

— Ach! — zawołał — żeby już raz zrobić jakiś koniec z temi marzeniami Naci! Hołysz jakiś zajechał jej do głowy—i po co? Tu przynajmniej, w związku z Mengensternem, ma przed sobą przyszłość! Pieniądze są, a tam w Bukareszcie, będzie prowadziła dom otwarty, dla ludzi i dla intrygj wszelkich. Nic mi i Kuza i Stuza i Kantakuza nie pomogą! Draszkowicz ma także swoje przeznaczenie, pójdzie tam gdzie go rzucę, ster sam obejmę. Naci zostawię wpływy w świecie, przez nią o wszystkiem wiedzieć będę. A tu...

—dodał z uśmiechem — tu znów inne piony posuwać mogę.

Zegar, ów niemy świadek tylu rzeczy, wybił właśnie w tej chwili wskazaną godzinę; to wstrzymało marzenia pana Mikołaja, zwrócił się więc do kantorka i wydobył ztamtąd duży plik papierów.

— No! moje „rumuny“ naprzód! Nie smućcie się; rozstaniemy się tylko przez jutro. Zobaczymy też ile na was zarobię?

To rzekłszy włożył papiery w teczkę—wybiegł z domu i skierował się szybko ku giełdzie, by wróciwszy ztamtąd przygotować, według obietnicy, wszystko do powodzenia „zamachu stanu“ obmyślanego przez Mengensterna przeciw narzeczonemu Naci.

Tymczasem, Winerbrand obrabiał kolegów — zastał ich oczekujących go rzeczywiście podług poprzedniego układu. Kilka minut czasu przekonało go, iż nie byli jeszcze w posiadaniu missywy fałszywego wujaszka i pieniędzy.

Kolacyjka koleżeńska odbyła się dość wesoło —Winio dodawał otuchy.

— Ot,—mówił—nie wiem dla czego, ale mam przeczucie, że się bieda wasza skończyć powinna —wszak macie rodziny możne! Ja,—co innego, muszę pracować zawsze u Mengensterna; zarobek nietęgi, zaczyna mi się też przykrzyć to miejsce.

Napomknął także o spodziewanej posadzie w Marsylii.

Opuszczając przyjaciół, pożegnał ich na dłużej, gdyż, jak mówił, miał różne zlecenia dopełnić na mieście.

Tymczasem, miał on plan inny.

Do pana Dumetier, przez uboczne wpływy, zakołatano silnie o dwa miejsca *„pour des nobles polonais“* i co godzina spodziewano się odpowiedzi pomyślnej.

Winerbrand wiedział dobrze, że najdalej nazajutrz rano, Czujski i Szufla odbiorą pieniądze i ostrzeżenia mniemanego wujaszka, które sam sfabrykował tak zręcznie, i że gdy go zobaczą, naturalnie zwierzą się mu pierwszemu. Chodziło już tylko o dowód śmierci. W oczach przebiegłego Winia stał ciągle ów zegarek z medalionem, do którego Czujski tak wielką przywiązywał wartość — podejrzywał więc słusznie że w medalionie tym musi się mieścić fotografia narzeczonej lub że sam nawet ten klejnot od niej pochodzi. Chciał więc przedstawić Naci ten dowód, pogięty niby od kuli, opowiedzieć bohaterską śmierć Antoniego, przekonać ją o prawdzie a tem samem o bezpożyteczności dalszych zabiegów. Ale, jak dostać ów medalion? Poczciwy Winio tak sobie tę manipulacyę w myśli układał:

— Zegarek pożyczę na jedną godzinę, me-

dalion zegnę, zatrę pyłem i pobrudzę... Lecz co zrobię, jeżeli mi go nie powierzy wcale? Ba! trzebaż coś liczyć na szczęście—byle tylko ten głupi Mengenstern wyrobił mi audyencyę u panny.

Wróciwszy do domu Winerbrand zastał tam następującą kartkę:

„Bądź jutro u mnie o drugiej, wszystko będzie gotowe. Twój Mg“.

— Ten nie próżnował!—mruknął.

Zmęczony zaszczytną pracą, Winerbrand zasnął snem spokojnym—wór złota zaciemniał przed nim wszystko—zdradę kolegi, szczęście dwojga istot sprzedane, biedną dziewczynę ze złamanem sercem. Drgnął wprawdzie czasem przez sen i... chrapał dalej.

Pan Mikołaj zabawił nieco dłużej na giełdzie, więc tego wieczora siostry nieodwiedził; za to nazajutrz rano, stawił się u niej. Panna Natalia była jeszcze u siebie.

— Dobrze—rzekł po przywitaniu się z panią Adelą—że cię samą znajduję; mam coś do pomówienia.

— I owszem Mikołaju, mów co chcesz, nikt nam przeszkadzać nie będzie.

— Otóż, a propos Naci...

— Czy jest coś nowego?

— Jest—Czujski zginął.

— Szkoda!—odparła mama Gricz—był to dobry chłopiec, ale cóż czynić? Nie ma go—to nie ma, może też teraz lepiej nam pójdzie z Nacią.

— Pewnie że lepiej...

— Trzebaby ją do tego przygotować. Biedna dziewczyna, biedna moja Nacia!

— Pozwól, niech ci wszystko opowiem. Słuchaj i zrozumiej mnie. Czy Czujski zginął czy nie, to dla nas wszystko jedno—dość że jest dowód jego zgonu. Dziewczynę trzeba wydać zamąż, chyba że ty upierać się będziesz koniecznie przy tym polskim hołyszu.

— O! nie, mój drogi. Znasz moje zapatrywanie się: chcę dla Naci partyi mogącej dać jej rękojmię szczęścia; więc pragnę by miała dobrobyt wielki i znaczenie. Co do tego nie różnimy się wcale.

— Tak jest;—lecz zapatrywać się jednakowo na rzecz tę—już teraz zamało; teraz działać potrzeba. Znajdujemy się w takiej chwili, w której sumienie każe nam, bez jej wiedzy i woli, działać za nią: mnie, jako opiekunowi, tobie, jako matce.

— Wiem, Mikołaju—odparła pani Gricz — że pod wpływem w jakim się Nacia znajduje, sama o sobie nic nie postanowi trzeźwo; więc mu-

simy przyjąć odpowiedzialność za nią. Ja, tę odpowiedzialność przyjmuję.

— I ja także—dodał uroczyście pan Mikołaj. — A zatem, Adelo, w imię dobra Naci, żelaznemi dłońmi ukujemy jej szczęście.

— Amen!—dodała pani Adela.

— Korzystajmy-ż z szansy—ciągnął brat dalej;—przywołaj tu Nacię, muszę z nią pomówić.

— Tylko ostrożnie, Mikołaju!

— Tu już ostrożność niepotrzebna na nic; prawdę powiedzieć trzeba.

— Biedna moja dzieweczka!—mruczała pani Adela.—Lecz to się robi dla niej; dla jej szczęścia...

— Idź-że już—idź.

— Idę.

I wyszła, ta dobra matka, po ofiarę mądrości niemądrych opiekunów swoich.

Pan Mikołaj chodził wzdłuż i szerz.

— Żelazną dłonią! tak, żelazną dłonią; tak, dłonią żelazną ukuję szczęście dla niej, mruczał do siebie i dalej majaczył, albowiem wyobraźnia jego sięgała daleko.

Wtem, weszła Nacia.

— Dzień dobry wuju! — zawołała. Czy wuj mnie wołał?

— Tak, moje dziecko.

Uroczyste „tak“ pana Mikołaja odrazu za-

trwożyło biedną dziewczynę — zatrzymała się chwilkę wpatrując się weń bacznie.

Badawczy jej wzrok niesprawiał wujaszkowi arcy-miłego wrażenia.

— Trzeba skończyć jak najprędzej—pomyślał pan Mikołaj i podszedłszy ku Naci ujął jej rękę mówiąc:

— A gdybym też powiedział ci coś nowego?

Smutek i radość, nadzieja i trwoga, wspólnem tętnem zabiły w sercu Naci.

— Proszę, wuju, proszę!

— Czy się jej twarz zmieniła, czy też oczy zabłysły dziwnie, dość że pan Mikołaj cofnął się na chwilkę.

— Chciałem ci powiedzieć coś, niezbyt znowu ważnego, więc się nie przerażaj i nie irytuj...

— Ani jedno, ani drugie—wyrzekła tłumiąc ból gwałtowny.—Cóż mi wuj ma powiedzieć?

— Ha! jakaś ty natarczywa; otóż, moja droga przypomnij sobie, że niedawno, zawarliśmy umowę i że ja obiecałem dołożyć wszelkich starań by się o panu Czujskim dowiedzieć; otóż obecnie...

— Obecnie wuju?—zawołała gwałtownie.

— Obecnie... No, nic złego. Usiądź moje dziecko; powiem ci wszystko.

Nacia przysunęła się bliżej do wuja, wzięła go

za rękę wpatrując się w domniemanego dobroczyńcę.

Zakamieniały pan Mikołaj zadrżał pod wzrokiem czystym, uczciwej kobiety.

— Żelazną dłonią—mruknął do siebie,—i tym frazesem dodawszy sobie ducha, rzekł:

— Otóż, moja siostrzeniczko droga, dowiedziałem się co mogłem i to trafem tylko: W restauracyi gdzie bywam, jada jakiś pan Ferdynand. Ten pan Ferdynand, zdaje się emigrant polski, słyszałem jak opowiadał o tychże samych miejscowościach o których ty w przypuszczeniu wspominałaś, mówiąc o Czujskim... Kazałem więc rozpytać go szczegółowo. Mówi że znał Czujskiego osobiście. Wskutek tego, wczoraj poszedłem do wzmiankowanej restauracyi, ale go na obiedzie nie zastałem—adresu jego także nie mam, ale urządzę obławę i dowiem się co potrzeba, albo ci go tu przyprowadzę.

— O! proszę wujaszku, zaproś tego pana do mnie, może go znam osobiście?... Zresztą, bądź co bądź, pragnę się z nim rozmówić.

— Dobrze, lecz czy matka zgodzi się na to?

— Zgodzi się, zgodzi! Niech go wuj zaprosi; proszę, błagam!

— Cóż mam robić! ulegnę, jak zawsze. Pójdę więc szukać pana Ferdynanda, a zarazem zostawię w restauracyi bilecik do niego, prosząc aby o

5-ej przyszedł tu, chociażby bezemnie nawet. Nie dziw się więc mojej nieobecności, bo każesz mi biegać na wszystkie strony...

Nacia mimowolnie schyliła się do ręki wuja; jakieś dziwne uczucie ogarniało całe jej jestestwo i obezwładniało ją.

Wuj Iskaryota, specyalista o żelaznej dłoni do ukucia szczęścia, pocałował ją w czoło.

— Idź do matki — rzekł,—idź i bądź dobrej myśli.

Blada, spokojna, czarnooka dziewczyna udała się do drugiego pokoju.

I tak to się dole ludzkie plotą!

Piękność, bogactwo, przywiązanie, wszystko było, tuż obok Naci i Czujskiego; o parę kroków, a jednak, tak daleko! Możnaby myślić iż rodzą się ludzie którzy po to tylko na świat przyszli, ażeby cierpieniem życia całego, wykazać złość i niedołęztwo pojęć i urządzeń społecznych. Takim nieszczęsnym, Bóg wszystko daje: rozum i serce, dobroć i wiarę, zda się na to, ażeby inni psując to, wykazali wybitnie, jak to można, przez pojęcia fałszywe, wszystko spaczyć—obrócić wniwecz uosobienie piękna i wyższości.

A teraz, pan Mikołaj wychodził z lekkiem sumieniem.

Cała jego a raczej Winerbranda, mądra kombinacya została w ruch wprowadzona; dwóch

głównych aktorów czekało w ukryciu na rozegranie się dramatu w sercu najbliżej ich obchodzącej istoty—jeden przysposabiał siostrzenicę, drugi przyszłą żonę, do walki w świecie i do szczęścia domowego.

Zaiste, dziwna metoda przygotowawcza!

Najlepszy z szajki Winerbrand, który każdy krok podły okupywał przynajmniej walką wewnętrzną, stał na straconej pikiecie. On wszystko robił, on za wszystko odpowiadał, on brał na siebie rolę patentowanego łotra, gdy tymczasem obaj socyusze, byli to ludzie nawskróś porządni...

Pan Mikołaj zdążał na giełdę. Operacya ze „wschodniowcami“ vel „rumunami“, udała się. Zastał tam i Mengensterna.

Baron przechadzał się z miną zwycięzką.

— Jedno za drugie—rzekł pan Adeta—jutro o czwartej, pański artysta może się zameldować przy ulicy d'Isly pod imieniem pana Ferdynanda, Niech powie, że ja go przysłałem, wezwawszy listownie. A niech doda jeszcze,że idąc tam, zemną się wpierw nie widział i że niewie wcale czego żądają od niego.

— Dziękuję i rozumiem: to znaczy, że pan jawnie nie bierzesz czynnego w tej sprawie udziału; to i lepiej, gdyż p. Natalia mogłaby, w danym razie, zachować do wujaszka urazę lub wstręt mimowolny.

— Bez analiz, panie baronie!

Do widzenia, dodał baron ściskając czule rękę Adetty. Poczem wsiadł szybko do powozu i pognał do Winerbranda. Winerbrand od kilku dni spanoszał: do roboty i do wyjścia z domu niebardzo się kwapił—siedział u siebie paląc cygaro i przyglądając się zyskanym tak nagle srebrnikom—inaczej bowiem, uczucie lepsze targało mu sumienie—upijał się więc złotem.

Na widok Mengensterna, zamiast skwapliwej i choćby udanej uprzejmości, skrzywił się nieco podając mu rękę.

Rzecz dziwna! Od czasu gdy uczuł w kieszeni przekupne franki, zaczął nienawidzić barona, a czuć jakiś rodzaj przywiązania do swej ofiary; nienawiść ta wzrastała z każdą godziną i gdyby stosunkowo, nie nader znaczny przypływ pieniędzy, byłby może przeszedł na stronę Czujskiego.

— Ferdynandzie wielki! zawołał baron, rzecz cała już ułożona: teraz na ciebie kolej.

Silne rumieńce wybiegły na twarz Winerbranda; zbliżała się już tedy stanowcza chwila.

— A kiedy? zapytał, niby obojętnie.

— Audyencya twoja oznaczona na jutro, pomiędzy czwartą a szóstą z południa. A teraz, pokaż jak uprowidowałeś tekę?

— To rzecz nie twoja. Czem i jak przekonam,

mniejsza o to—dość że przekonam. O naznaczonym czasie przybędę.

— To, że przekonasz już słyszałem. Ale, zdaje mi się że i ja w tej grze coś znaczę przecie...

— Niezawodnie. Ale w tej części akcyi naszej masz rolę bierną, więc czekaj. Wszakże niedługo wszystko się skończy.

Baron Mengenstern, acz niezadowolony zgodzić się musiał z absolutyzmem krewniaczka.

— Będziesz się przedstawiał pod nazwiskiem pana Ferdynanda—zauważył tylko—i takie każ sobie wydrukować bilety; poślesz jeden z nich do pań Gricz i tam cię zaraz przyjmą. Przytem nieomieszkasz nadmienić, żeś pana Mikołaja Pekowicz-Adeta, nie widział, a tylko odebrałeś listowne od niego wezwanie, na które stawiasz się uprzejmie.

IX.

Winerbrand był jak w gorączce, wynajdywał sam dla siebie rozmaite, ważne jakoby powody, któreby oddaliły choć na godzin kilka rozegranie ukartowanej kabały. Nie było to jednak możebnem, rzucił się więc z całą zaciekłością w wir walki.

Kombinacye jego układały się wyśmienicie.

Jutro pójdzie do biura na ulicę Casimir Delavigne, tam Szufla i Czujski, którzy już odebrać musieli list i pieniądze, najniezawodniej zgłoszą się do niego, prosząc o wyrobienie miejsc na prowincyi. On każe czekać Czujskiemu w umówionej kawiarni; następnie, zjawi się tam nagle z wiadomością, że posady dla nich już są, tylko musi wpierw wpaść jeszcze do pewnej osoby mającej wpływ wielki w tym interesie, punkt o naznaczonej godzinie. Ażeby zastosować się do tego ściśle, potrzebuje mieć zegarek; że zaś swego wziąść zapomniał—więc chwyci zegarek Czujskiego, wraz z medalionem na odczepienie którego nie ma czasu—i z tą zdobyczą ruszy wprost do Naci.

Jednak w głowie i w sercu zdradzieckiego kolegi przesuwały się i teraz jeszcze, inne myśli. A gdyby tak, zabrać z sobą Czujskiego na ulicę d'Isly? Lecz wykonaniu myśli tej srebrniki zaprotestowały brzękiem!

Przechodził właśnie ulicą Rivoli, gdy wtem spotkał jadącą w pysznym powozie, jedną z wykwintnych kokot, Nini-belles-dents, którą poznał był kiedyś u Mengensterna z okazyi kolacyjek wydawanych na cześć sławnej Miny la Hollandaise.

Bogata myśl przesunęła się mu przez głowę

ruchem ręki zatrzymał powóz i podszedł do drzwiczek.

Poczciwa Nini skrzywiła się nieco i zapytała krótko.

— Czego chcesz?

— Chcę dziś zapomnieć że żyję a dowiedzieć się o tem dopiero jutro, o 8-ej zrana.

Nini-belles-dent pokazała dwa rzędy białych ślicznych ząbków.

— Oho!—zawołała, otwierając oczy —nous commençons a dévenir raisonable. Cóż to? porosłeś w pierze?

— I suto!

— Ha, to idź do mnie; wrócę niedługo. Teraz jadę voir mon homme serieux, a potem zabawimy się razem. Lubiłam cię zawsze; masz spryt i bezczelność.

Powóz ruszył dalej a Winerbrand po krótkiej jeszcze przechadzce zaszedł na obiad przy którym uraczył się wyśmienicie. To też w wybornym humorze stawił się u Nini.

Następstwem tej wizyty był teatr i kolacyjka w Maison d'Or.

Lecz Nini na te uciechy zawerbowała towarzysza; był nim znany w pół-światku hr. Michał—postać niezupełnie mytyczna. Mówimy „był“ gdyż bez szkody ludzkości istnieć już przestał. Ten hrabia Michał,—imię to z umysłu przekręciłem—

dziwną miał historyę a rola którą odgrywa w opowiadaniu niniejszem, jest faktyczną. Zresztą, był to człowiek gładkich form towarzyskich, nie tchórz—lecz bez sumienia. Że zaś grosza, jeśli go miał, nieżałował, niektórzy więc lubili go bardzo, niepytając zkąd ten grosz pochodzi.

Po północy, z gabinetu w Maison d'Or wyszły trzy osoby. Nini opierająca się na ręku a raczej podpierająca ramieniem, pijanego towarzysza i hrabia Michał nieco czerwony, ale zawsze elegancki i trzymający się jeszcze dobrze. Za to, towarzysz pijany, a był nim Winerbrand, coraz gorzej plątał nogami.

— Fi!—zawołała Nini—wsadzić go do fiakra! Qu'on charie cette bête dans sa tanière.

Hrabia Michał podbiegł podać jej rękę; z niewysłowionym uśmiechem pogardy popatrzył na Winerbranda—lewą ręką poklepał go po kapeluszu a palcami prawej przeciągnął mu po twarzy, od oczu aż do brody.

— Ta kanalia nawet spić się porządnie nie umie—rzekł, a potem dodał:—No! idź spać Mojżeszu!

W oczach Winerbranda zaświecił odbłysk nienawiści, twardy. Chciał coś odpowiedzieć, lecz język mu się splątał, zabełkotał więc tylko:

— Ale przecież kolacya była moja... moja.

— Va, la ramasser!—sarknął hrabia—choć

nie wyglądasz na to abyś ją płacił—i rozśmiał się na całe gardło.

Winerbrand pozostał z tyłu za czułą parą, ścisnął pięść i pogroził obojgu, bełkocząc:

— Wszyscy wy tacy! wszyscy! Pokażę ja wam!

Zatoczył się raz jeszcze, potem wsiadł do fiakra i senny, samotny, odjechał do domu.

Spał przez noc całą—rano obudził się ociężały—wstał, ubrał się i czekał przez godzinę w domu. Przed oczami miał ciągle piękną Nini i hr. Michała—złość w nim wrzała.

— Wszyscy tacy—mruczał.

W przekonaniu jego był to jeszcze jeden prejudykat dla zaprzedania Czujskiego.

Te zdradliwie błyszczące oczy Nini-belles-dents, i uśmiechnięta pogardliwie twarz podupadłego polskiego pana—ta Nini opierająca się na jego ręku i on gospodarujący jak u siebie, za jego pieniądze, jakby robił łaskę że jadł, że pił, że zabrał Nini—wszystko to doprowadzało go do wściekłości.

— O! — zawołał — porachujemy się i zobaczymy kto dłużej wytrzyma.

To rzekłszy cisnął na stół sakiewkę ze złotem.

Wszystkie w nim złe uczucia wystąpiły do walki—naprzeciw—nie stanęło nic! Ani chrześciańskie: „nie czyń drugiemu co tobie niemiło“,

lub przebacz; ani wyłoniła się ze mgły szlachetna postać ojca, ani wzrok matki nie spoczął żałośny, ani prawa towarzyskie, ani uczucie honoru—nic nie wsparło go w tej walce.

Zresztą, godło pod które wstąpił było znane: „używaj, i bądź bogatym“.

Ze szkołą nowoczesnych filozofów Winerbrand miał wspólną, tylko niewiarę; reszta, wobec faktów, wobec potrzeb i prawd życiowych u niego jak u wielu, różnie była komentowaną—do różnych naginaną okoliczności. Miał kolegę rosyanina który powiadał: wsio możno tolko ostorożno—francuza co drwił ciągle—niemców: heglistę i szleglistę, zatapiających się w marzenia mgliste, co im nie przeszkadzało wcale pożyczać pieniędzy zkąd mogli, i nie oddawać ich nigdy—polaków co żyli nad stan — słowem, panował w nim chaos bez żadnej nici przewodniej. Uczucie koleżeństwa, jakie rzeczywiście posiadał, nie mogło uchronić go od upadku na tej ślizkiej drodze. Spadał więc na dół, druzgocząc innych.

Około jedenastej przed południem, Winerbrand udał się do biura na ulicy Casimir Delavigne.

Przyjaciele nasi już tam byli. List i pieniądze otrzymali. Ton listu i znaczna stosunkowo summa, odrazu w błąd ich wprowadziły; autentyczności listu tego ani na chwilę niepodejrzy-

wali—przypisywali go wspólnemu wujaszkowi,, niezbyt rycerskiego ducha ale poczciwego serca. Czujski odzyskał nadzieję i cieszył się jak dziecko. Stosując się do poleceń, postanowili, bądź co bądź, wyjechać—w każdym razie, nawet bez widoków dostania miejsca, boć przecież czuli się obowiązani wujowi, a nie znając okoliczności które nim powodowały — postanowili wypełnić na ślepo jego polecenia. Przedewszystkiem jednak, chcieli rozmówić się z Winerbrandem.

— Patrz — mówił Antoni—ta bestya jakby przeczuł; będzie kontent! Trzeba go jeszcze o te miejsca w Marsylii zagabnąć. Dziwnie się to wszystko składa; może też będzie to już koniec naszych kłopotów i nieszczęść.

— Być może. Co do mnie, czegoś się lękam jednak—odparł Szufla—i dla tego radzę ci Antosiu, nie popuszczaj zbytecznie cugli wyobraźni.

— A Nacia?—wyszeptał Antoni.

— Daj Boże, daj Boże! Coś i ja wierzyć zaczynam. No, ale ułóżmy się ostatecznie co i jak zrobić mamy.

— Wypełnić bezwarunkowo program w liście wskazany.

— I użyć do tego Winia?

— Naturalnie. Pominąć go byłoby z naszej strony i niepoczciwie i niepraktycznie nawet.

W tej chwili właśnie ukazał się Winerbrand,

— Bóg cię zsyła!—zawołał Antoni. — Czyś już z powrotem?

— Z powrotem, ale podróż jakoś mnie utrudziła. No, a wy?

— My mamy dużo do pomówienia z tobą.

— W takim razie, przejdźmy do sali.

Sala, był to maleńki pokoik, gdzie przyjmowano interesantów.

Do tego to pokoiku weszli trzej dziwni interesanci.

— Najprzód, Winiu—mówił Szufla—to o czem będziemy mówić trzeba żeby między nami zostało.

— No, czy jaka historya z piękną damą? — drwił Winio, bo czuł że mu się policzki krwią oblewają.

— Niezupełnie, ale zaraz ci rzecz wyjaśnię— rzekł Szufla, i jął opowiadać wspólnemu przyjacielowi to co ich spotkało. Przeczytał mu nawet list cały.

— Ależ to farsa chyba! — zawołał Winerbrand.

— Farsa? a trzy tysiące rubli...

— Prawda! argument przekonywający. Więc mówicie, że to wasz krewny, ów stary dziwak, napisał ten list patetyczny i pieniądze przysłał?

— Dziwak nie dziwak — odrzekł Antoni — ale poczciwy to pewne. A teraz, Winiu, posta-

raj się o miejsca dla nas, gdzieś na prowincyi.

— Moi drodzy, żarty żartami, lecz na seryo mówiąc, wiecie że radbym wam nieba przychylić. Miejsca dla was tak jakbym miał już gotowe. Jest właśnie w Paryżu główny agent kompanii marsylskiej, zaraz jadę do niego; on dziś także wyjeżdża. Antoni, chodź ze mną!

— Dobrze, lecz po cóż ja?

— Po co, dziku jakiś? A może zechce pomówić osobiście z tobą. Działajmy szybko. W każdym razie winszuję wam, winszuję serdecznie! A co? wszak mówiłem, będzie lepiej!

Winerbrand mówił to wszystko szybko i bezładnie, jakby chciał zagłuszyć jakiś szept cichy, resztek lepszego uczucia.

Zameldowawszy się naczelnikowi biura, Winerbrand i Antoni Czujski szybko oddalili się.

— Otóż, Antosiu—mówił Winio, — jedziemy ztąd do kawiarni de la Concorde, tam zaczekasz na mnie bo pojadę do agenta albo do Mengensterna, prosząc o rekomendacyę i wrócę za jaką godzinę do ciebie—łykniesz tymczasem kawę, przeczytasz gazety i poczekasz cierpliwie.

Zbliżyli się do oznaczonej kawiarni. Winio pożegnał Antoniego i pobiegł do Mengensterna.

Czuł, że zaczyna znowu chwiać się w swoim niegodziwym zamiarze—więc szukał podpory.

Mengenstern także w oczekiwaniu ostatecznej decyzyi nie wychodził z domu.

— Cóż nowego? — zawołał widząc Ferdynanda.

— Ptaszek już w klatce; trzeba mu tylko uciąć skrzydełka. Mam dowód pewny że nie żyje.

— Jaki dowód?

— Zobaczysz za godzinę. Skreślę ci cały przebieg, historyę całą: plan nasz powiódł się, pieniądze otrzymali. Przypuszczając że są od jakiegoś wujaszka, chcą zgodnie z jego radą wyjechać z Paryża koniecznie, prosili mnie o wyrobienie im miejsc. Zabrałem z sobą Czujskiego i czeka on na mnie w Café de la Concorde, niby na ostatnią decyzyę agenta domu marsylskiego i na twoją protekcyę.

— Ależ dowód, dowód jego śmierci!—przerwał baron.

— Już się niecierpliwisz? Dowód śmierci.... wszak jeszcze mamy dwie godziny czasu.

— Więc cóż się stanie za te dwie godziny— Czujski umrze, czy co?

— Fi! Tylkoż bez tych gwałtownych środków, nawet w myśli samej. Dowód śmierci znajduje się przy nim, Za godzinę wpadnę do kawiarni, powiem że miejsce już jest, że czekają na mnie o naznaczonej godzinie. Porwę się za ze-

garek, który umyślnie teraz u ciebie zostawię, a nieznalazłszy, zapytam o jego — wyrwę mu prawie z rąk, boć to między przyjaciołmi uchodzi. Potem natychmiast tu przylecę by odegrać tragikomiczną scenę. Czy umiesz strzelać?

— Nie.

— No, i ja nie tęgo.

— Na cóż strzelać?

— Oto, w medalionie przy zegarku, już ci mówiłem, jest fotografia waszej bogini. Trzeba rozstrzelać ten medalion, który jej następnie pokażę. Rozumie się że postaram się być wymownym i przekonam piękną panienkę.

— A jeżeli Czujski medalionu ci nie da?

— To już rzecz moja! Kombinacya jest konsekwentna i udać się musi.

Pogawędzili jeszcze przez czas jakiś. Mengenstern dobył rewolwer z biurka i zaczęli go oglądać.

Nareszcie naznaczona godzina upłynęła i Winerbrand pojechał do kawiarni de la Concorde.

Wpadł tam jak bomba.

— Wszystko idzie doskonale!—zawołał spostrzegłszy Czujskiego—tylko muszę jeszcze pobiedz do tego pana i telegrafować do Marsylii by miejsc tych nikomu przez ten czas nie oddano. O pół do drugiej, co do minuty, pociąg odchodzi; zobaczyć się jeszcze muszę!...

— To spiesz-że się!—zawołał Antoni.—Dziękuję ci mój Winiu, dziękuję, dobroci twej nie zapomnę nigdy.

— O! cóż znowu! Między kolegami to rzecz zwykła. Ale w drogę, bo czas nie stoi.

Rękami uderzył się po kieszeniach od kamizelki.

— A to czort nadał!—krzyknął—zapomniałem wziąść zegarka, czy może gdzieś zgubiłem. Która u ciebie, Antoni?

— Mój idzie razem z tutejszym—rzekł Czujski, patrząc na swój zegarek.

Winerbrand chwycił za łańcuszek.

— Pozwól mi go, mój drogi! za godzinę... odniosę.

— Ależ Winiu — rzekł Antoni—rozdzielać się nie chcę...

— Toś mi dobry, dopiero! Człowiek lata dla niego, a on żałuje mi pożyczyć zegarka na chwilę.

— Nie to, mój Winiu—ale widzisz... medalion...

— Nie dotknę go, przysięgam! No, dawajże zegarek—rzekł, szarpnąwszy lekko;—spóźnię się...

Antoni puścił z ręki łańcuszek, a Winerbrand chowając zegarek jego do kieszeni, zawołał:

— Do widzenia! Teraz idź do domu, rzeczy upakuj i czekaj. Kandydatów na miejsca w Mar-

sylii jest dosyć. Skoro tylko dam ci znać, przyślę list lub sam przyjadę, zaraz w drogę!

Uścisnął Antosia za rękę i wskoczył do fiakra.

Na ustach Winia osiadł zły i zimny uśmiech. Zdobycz trzymał w ręku. Ofiara stała na progu kawiarni, uśmiechnięta łagodnie, życzliwie i z wdzięcznością spoglądająca na zdrajcę.

Wkrótce Winerbrand wrócił do swego socyusza, a Czujski podążył na ulicę Casimir Delavigne, zwiastować Szufli dobrą nowinę.

Czegoś jednak był nie swój. W najcięższych i najstraszniejszych chwilach życia, medalion z fotografią Naci nie opuszczał go dotąd nigdy. Zdawało mu się że teraz, powierzając go przyjacielowi popełnił zły uczynek—dąsał się więc na siebie i na Winia.

Tymczasem ten ostatni z panem baronem, uzbroiwszy dłonie w broń palną, zabierali się do rozstrzelania medalionu. Fotografię wydobyli, medalion zaś pusty ustawili na stoliku pod ścianą, zakrywając go ciężkim presse-papier, tak, ażeby tylko koniuszczek było widać. Drzwi i okna szczelnie obetkali portjerami i pledami, ażeby strzał nie był posłyszany z zewnątrz, czego zresztą w obszernem mieszkaniu barona obawiać się nie mieli potrzeby.

— No, Ferdynandzie—strzelaj!

— Nie ty?

— Zkądże ja? Ty co innego, byłeś przecie wojakiem w ową zawieruchę, więc to twoje rzemiosło.

Winerbrand wycelował, dał strzał i... chybił. Próby te powtórzyły się parę razy wśród śmiechu obu socyuszów. Nareszcie, Winerbrand rozgniewany przyłożył prawie rewolwer i trafił w wystającą cząstkę medalionu.

— Śmierdzi!—rzekł baron wąchając proch.

— A, śmierdzi! Obecnie jednak pachnąć ci to powinno.

Wziął do rąk medalion i zaczął mu się przypatrywać. Kula zaczepiła bok jeden, zgiąwszy go zupełnie.

— Teraz—rzekł Winerbrand, zaczerniając go sadzą z wystrzelonego rewolweru—teraz złudzenie zupełne, fotografia znowu się wkłada i marsz w drogę—lecz przedtem należy mi się zaliczka.

Mengenstern z radością wydostał żądaną zaliczkę; czuł że przez to silniej trzyma Winerbranda w ręku—upojony był szczęściem, przeczuwał powodzenie niechybne.

Baron otworzył okno, przewietrzył mieszkanie i pociągnął z sobą Winia na śniadanie.

— O czwartej będziesz u Griczów; posil-że się pierwej, to nigdy nie wadzi.

Winio posilał się więcej winem niż jadłem, był nieco rozgorączkowany, ale jakaś nieprzeparta siła pchała go naprzód; pragnął już raz wreszcie odegrać swą rolę by potem odetchnąć swobodniej.

X.

Około godziny 4-ej w ową pamiętną środę, pan Ferdynand dzwonił do mieszkania pani Gricz przy ulicy d'Isly i podał służącemu swój bilet wizytowy.

Za chwilę, drzwi się uchyliły.

— Pani prosi—wyrzekł oficyalnym głosem służący.

Między matką a córką, w saloniku pani Adeli, odbył się spór maleńki. Troskliwa matka przygotowując córce moralne zabójstwo, w imię jej szczęścia—wahała się jednak czy pozwolić Naci samej rozmawiać z panem Ferdynandem; przewidywała bowiem zemdlenie lub jakiś atak nerwowy. Ustąpiła jednak na naleganie córki i pocieszała się nieboraczka przygotowując wodę lub wódkę kolońską na wypadek wszelki.

— Może się jej zrobić słabo—szeptała do siebie—biedna moja Nacia! Ale to wszystko robi się dla jej losu, dla jej przyszłości...

Nacia weszła do pokoju gdzie czekał Ferdynand. Miał on kapelusz w ręku, wydawał się nieco czerwonym na twarzy, a był jakby nie swój—trawiła go gorączka zbrodni.

Przedstawił się Naci i oboje przeszli do przyległego gabinetu.

Nacia zebrała całą siłę duszy, cały hart jaki jej Bóg nadał a okoliczności wyrobiły; chciała panować nad sobą, wypytać się o wszystko, o wszystkie szczegóły, nawet najstraszniejsze. Tak sobie postanowiła; czy jednak zdobędzie się na wykonanie tego postanowienia?

Tymczasem, pan Ferdynand sam jej w pomoc przychodził.

— Pani—rzekł—poznałem się z wujaszkiem pani; dowiedziałem się od niego iż pani dopytuje się o jednego z mych dobrych znajomych, pana Antoniego Czujskiego. Otóż, wezwany listownie przez pana Adetę, stawiam się tu na rozkazy pani.

Nacia podniosła oczy a pod tym wzrokiem obłudne oblicze Winerbranda drgnęło, i łotr bezczelny począł się mięszać nieco.

Biedna dziewczyna wzięła to za oznakę pewnego rodzaju współczucia.

— Chcę prosić pana o prawdę, o czystą prawdę, o wszystkie szczegóły dotyczące wszystkich jego znajomych. Z nich jednak obchodzi

mnie i mamę moją, najbardziej pan Antoni Czujski... więc...

— Antoni Czujski już nie żyje—wyrzekł posępnie Winerbrand.

Blada twarz dziewczyny naraz skamieniała jakby; wlepiła w oblicze Ferdynanda oczy straszne, pytające. Pochyliła głowę w tył wspierając ją o poręcz fotelu.

— Może się pan myli?—jęknęła.

— Nie—było to 6-go maja. Pani zna Janów, niedaleko Kobylanki; tam się bitwa zaczęła. Austryacka granica jeszcze migotała w dali, węgierskie huzary pułkownika Walisa rozsyłali patrole po granicy; słońce już dobrze się schyliło ku zachodowi. Byliśmy znużeni, wycieńczeni. Wiśniewski padł ranny, Dąbczański także, gdy naraz, ujrzeliśmy Kazaneckiego który jak szalony miotał się naprzód. Wtem, ciemno się zrobiło od dymu i łoskotu. Kazanecki zachwiał się wtedy; nas stało trzech opodal: Waligórski młody, Antoni i ja. Waligórski pierwszy poskoczył i padł nieżywy. Szarpnąłem Antoniego za rękę — łoskot coraz się wzmagał, biały pas dymu zaciemniał oczy. Antoni wyrwał mi rękę. „Nie cofam się nigdy! rzekł, a potem krzyknął: Trzymaj się Kazanecki!... Jednakże było już zapóźno. Kazanecki iak dąb potężny runął na ziemię. Koło uszu nam coś gęściej świsnęło. Wtedy Anto-

ni chwycił się za piersi i padł—bezprzytomny. Porwałem go na ręce i korzystając z zamieszania zawlokłem do pobliskiego boru.

Nacia stopniowo podnosiła się na krześle—wszystkie żyły na twarzy jej naprężyły się konwulsyjnie.

— I?—rzekła.

— I—odparł Ferdynand, rozgorączkowany opowiadaniem—tam położyłem go. Biedak niedługo cierpiał. Ostatnie słowa jakie wyrzekł były: „Szufla w Przeworsku u księcia Lubomirskiego, chory“. Później kilka razy szepnął imię pani a później: To tobie—rzekł i oddał mi zegarek z medalionem. Oto są — dodał Ferdynand pokazując go Naci—tylko medalion zgięła niemiłosierną kula.

— Mój medalion!—wyszeptała cicho, wyciągając rękę. Ostatnie krople krwi ustępowały z ust dziewczyny, ból niemy ale śmiertelny łamał jej duszę.—Oddaj mi go pan!

— Za nic w świecie, pani! — i ja mam swoje prawa, bom wraz z Antonim niósł także życie w ofierze.

— Przepraszam—wyrzekła z jękiem Nacia.

Zwolna, jakieś zimno przerażające owładać nią zaczęło.

Ferdynad spostrzegł że już tu nie ma co robić, chwycił więc za kapelusz i wyszedł.

Nacia, przez zwyczaj konwenansu, chciała mu jeszcze powiedzieć grzeczność jakąś, czy podziękować za fatygę, lecz słowa zamarły jej na ustach—skotniałe członki traciły życie—w umyśle powstawał chaos. Jakaś nicość bez granic, ogarniała ją na okół.

Tymczasem zapobiegliwa mama porządkowała kosmetyki potrzebne do trzeźwienia jedynaczki w tym jej, nieomylnym ku szczęściu pochodzie.

— Naciu!—zawołała.

Nacia wstała i poszła prosto, bezmyślnie na głos matki. Ani jednej łzy nie było widać w jej oczach, raczej, rzec można, jakiś jakby dogorywający odbłysk płomienia błyszczał w nich tylko. Nie rzekłszy słowa do matki, przeszła przez jej pokój zastawiony ową wodą kolońską i weszła do swego. Tam jednak zaraz na progu, siły ją opuściły i osunęła się bazwładnie na posadzkę.

Pani Gricz pochwyciła córkę w ramiona, uniosła ją, oparła o kanapę i zadzwoniła silnie.

Weszła panna służąca; położono biedną Nacię do łóżka. Dobra mama przyniosła tam całą baterye wódek kolońskich, soli trzeźwiących, niezbędnych w tym pierwszym etapie do niezawodnego szczęścia, ukutego żelazną dłonią mądrego stryja dypłomaty oraz niezrównanej mamy—i—nakoniec, powrócono Naci życie.

Lecz wróćmy do naszych znajomych.

Winerbrand, wydostawszy się od Naci, ze śmiertelnym na czole potem, pognał do nich zaraz. Oddał im listy polecające, w które się zaopatrzał i zegarek Antoniemu zwrócił.

— Daruj mi—rzekł—lecz o mało że sam nie padłem ofiarą nieostrożności mądrali, który nieobeznany z bronią, bawi się nią jednakże.

I tu opowiedział im jakąś historyjkę przestrzelenia medalionu, ułożoną zręcznie.

Nazajutrz, o czwartej i pół wieczorem, pociąg przez Lyon do Marsylii, unosił Szuflę i Czujskiego.

Teren pozostał więc oczyszczony.

Winerbrand zarobił 50,000 franków.

— Teraz kolej działać na ciebie—mawiał do Mengensterna.

— Teraz kolej na pana!—mawiał Mengenstern do pana Mikołaja.

I rzeczywiście, rzecz była łatwa.

Nacia stała się jakby rzeczą martwą odkąd zabito w niej duszę. Ciężar boleści i rozpaczy zgniótł ją na miazgę. Pozornie, nie zmieniła się prawie, tylko jakaś straszna martwota owładnęła nią niemiłosiernie.

W kilka dni później, pan Mikołaj pełen uprzejmości, słodyczy i słów pociechy, był na ulicy Isly.

— A co?—zapytał siostrę—udało się?

— Nie tak bardzo—odparła pani Gricz.

— Jakto?

— Nacia chora.

— Zdaje ci się. Wzruszyła się nieco, ale to przejdzie. Wkrótce rozwaga wróci.

— Źle jest, bo się nie skarży.

— To ma być źle — powiadasz?

— Tak mi się zdaje. No, ale teraz cóż dalej?

— Dalej, wydamy ją za barona. Dowiedziałem się w sferach pewnych, że tego jegomościa dziś już liczą na 12 milionów franków. Jakaż to przyszłość, jaka rola dla Naci otwiera się w świecie, jeżeli ją przyjąć zechce! Ona nam za tę operacyę wdzięczną być powinna życie całe, ale teraz, sza! Tym dziewczętom zawsze się coś roi— później dopiero same zrozumieją niedorzeczność tych urojeń swoich.

— O, tak mój Mikołaju, i ja tak myślę, byle tylko Nacia chciała...

— Wszakże przyrzekła?

— A i ten pan Mengenstern jakoś nie śpieszy się bardzo...

— Cierpliwości, moja siostro! Wszystko to skończy się szczęśliwie.

— A jeżeli się wyda, że tamten żyje?

— Płonna obawa! Zresztą, nim to nastąpićby mogło, już Nacia zostanie baronową.

Tak upłynęło parę miesięcy.

Wizyty Mengensterna stawały się coraz częstsze—aż nakoniec, pewnego dnia wujaszek Adeta zadecydował, że nadeszła chwila zakończyć już całą tę sprawę.

W tym celu pan Mikołaj odwiedził siostrę. Zastał ją dnia tego cierpiącą cokolwiek i zmartwioną.

— No i cóż Adelciu, jakże tam z Nacią?

— Źle, bardzo źle! Zaczynam się niepokoić. Dziewczyna wygląda, jakby skamieniała: nawet nie płacze, ani narzeka; sama nie wiem co z tego będzie...

— Będzie dobrze, tylko trzeba już wreszcie wydać ją za Mengensterna.

— Nie zgodzi się na to; poczekajmy jeszcze.

— Mylisz się siostro. Według mnie, Nacia albo teraz pójdzie za każdego kogo jej wskażemy—albo nigdy.

— Więc?...

— Więc radzę ci, ażebyś niebawem, choćby natychmiast nawet, pomówiła z nią o tem małżeństwie. Wprawdzie, jesteś cierpiącą w tej chwili, ale to dobrze właśnie, bo możesz powiedzieć córce, że choroba twoja wynika z niepokoju o nią, o jej przyszłość; że niepokój ten zabija cię przedwcześnie. Rozmów się z nią przy mnie, żebym

miał sposobność dopomódz ci także; użyję całej wymowy. Spróbujmy.

Nacia właśnie w tej chwili weszła do pokoju matki.

— Jakże się miewasz mateczko?—zapytała tkliwie.

— Usiądź tu przy mnie, moje dziecko; niedobrze mi jest.

— I nie będzie ci lepiej, choćbyś całą aptekę spożyła—podchwycił pan Mikołaj i westchnął ciężko.

— Dla czego wuju? dla czego?

— I ty mnie o to pytasz, moja biedna Naciu?—wyrzekł z odcieniem wyrzutu.

— Dlaczego nie mam pytać? Przecież chcę się dowiedzieć, co dolega mamie.

— Zgryzota! — odparł pan Mikołaj—ponuro—i zamilkł.

— O, tak moje dziecko—wyrzekła z jękiem pani Gricz—tak, zgryzota mnie zabija ciągle; czuję że nie przeżyję tego... Myśl, że gdy mnie już nie będzie, pozostaniesz samą, opuszczoną—bo chociaż wuj cię kocha i zaopiekuje się tobą—to jednak jego stosunki i działalność, oderwać go od ciebie mogą. Co innego, gdybyś teraz, dopóki ja żyję—poszła za mąż—tembardziej że trafia się ci człowiek, który może zapewnić ci przyszłość świetną... szczęście...

— Szczęście! — wyszeptała dziewczyna, ze smutnym uśmiechem.

Zaraz jednak twarz jej blada, wróciła do wyrazu martwoty, który ją cechował od chwili, gdy jej doniesiono o zgonie Antoniego—i z tym wyrazem odrętwiałym, mówiła dalej, spokojnie—acz przerywanym niekiedy głosem, jakby jej tchu brakło:

— Rozumiem, czego żądacie odemnie: ty mamo i wuj także. Chcecie bym zaślubiła tego pana... barona. Mniemacie, że związek ten zapewni mi szczęście! Mylicie się. Dla mnie już nie ma szczęścia w życiu. Jam już umarła sercem i przyszłością całą. Ale—dodała, po chwili, poglądając na twarz matki, po której łzy spływały—jeżeli związek ten ma przywrócić spokój i zdrowie, tobie moja droga mamo...

— O! tak, moje dziecię, tak—przerwał z zapałem wujaszek.

— Więc... niech się stanie jak chcecie... dokończyła cicho... Dla mnie... to wszystko jedno.

Jeszcze tegoż samego wieczoru nastąpiło oficyalne przyrzeczenie przez wuja i przez matkę, ręki panny Natalii Gricz, panu baronowi Mengenstern.

XI.

A teraz, zajrzyjmy na chwilę do Marsylii.

Szufla i Czujski ładowali tam lub wyładowywali okręta, jako urzędnicy kantoru pana Dumetier. Trwało to już blisko dwa miesiące, a dwaj przyjaciele nie otrzymali żadnej świeżej wiadomości, żadnego słówka od owego domniemanego wujaszka. Milczenie to zaczynało ich niepokoić, przypuszczali rozmaite wypadki smutne—a jednak nie chcieli wręcz, poprostu znieść się listownie z rodzinami swemi w kraju, pomni na ostrzeżenie w owym liście sfałszowanym przez Winerbranda. Byt spokojniejszy i kilka tysięcy franków w zapasie, nietylko że pozwoliły im żyć swobodniej i wygodniej, lecz zrodziły w nich chcęć do przedsięwzięcia jakiegoś stanowczego kroku. Krok ten atoli mógł być postanowionym dopiero po pewnych informacyach, jakich tylko w Paryżu zasięgnąć mogli. Uradzili więc, że jeden z nich wkrótce tam pojedzie. Że zaś Szufla był swobodniejszy i mniej potrzebny w miejscu, on przeto miał się wybrać w tę informacyjną podróż.

Pozwolenie na to od nowego pryncypała otrzymali łatwo, bo poczciwy pan Dumetier nie chciał robić nieprzyjemności à ses nobles polonais, tem-

bardziej że polubił obu: raz że to byli polacy a wówczas w Paryżu, za Napoleona III taka była moda, powtóre iż z powierzonych im czynności wywiązywali się gorliwie i roztropnie.

Tak więc w dniu 11-ym września, pożegnawszy się z Antonim, Szufla wyruszył do Paryża i zatrzymał się w hotelu Voltaire quai Voltaire, nad Sekwaną.

Na dzień 19-ty września naznaczony był ślub Mengensterna z panną Natalią Gricz.

Zaraz po przyjeździe, to jest 11-go, Adam Szufla udał się do Winerbranda, jako do jedynego i najlepszego przyjaciela. Winerbrand jednak zmienił mieszkanie, lecz i w nowym apartamencie nie znalazł go także.

Było to około godziny czwartej, dzień chmurny i nieco dżysty nie nęcił do przechadzki; po ulicach i po bulwarach nawet, ruch panował mały. Wracając do hotelu Szufla przechodził koło Café Riche. O owym Café Riche albo Maison d'Or, wiedział on już coś z opowiadań lub z romansów—skorciło go więc zajść tam i posilić się zarazem, pomimo iż w zakładzie tym ruch właściwy i życie zaczynały się później nieco.

Litwin kazał sobie podać śniadanie, i dość sute nawet, bo grosza miał dosyć a skąpym nie był.

Skończył był jeść właśnie i czytał Journal des Debats, gdy wtem drzwi otworzyły się i wszedł

najpierw Mengenstern; za nim znany nam hr. Michał i jeszcze dwóch innych panów.

Nowoprzybyli usadowili się przy jednym ze-stołów, lecz nie kazali sobie nic podawać—tylko Mengenstern rozpytał garsonów czy obstalowane przez niego śniadanie gotowe i czy wolny już gabinet w którym ucztować mają?

— Tu zaczekamy na resztę towarzystwa— rzekł do hr. Michała,—a wy,—dodał, zwracając się do garsonów — spieszcie się i przygotujcie wszystko.

— No, no! Nie spieszcie się znów tak bardzo!—zawołał hrabia.—Kto czeka na Minę la Hollandaise i na Nini belles-dents, czekać może długo!

Szufla tymczasem, ujrzawszy byłego pryncypała, podniósł, jak mógł najwyżej gazetę, ażeby ukryć twarz za nią. Poczciwemu chłopcu wstyd było, że on który musi pracować na kawałek chleba, znajduje się w restauracyi tak zbytkownej.

Tymczasem, przybyła do Café Riche nowa kompania, rozmawiała swobodnie, nie zwracając uwagi na siedzącego w kącie sali Adama.

— Robercie—zawołał hrabia Michał do pana Lenoir, znanego dobrze w tym świecie hulaszczym — o czem się tak zadumałeś? Czy i ty może, tak samo jak nasz przyjaciel Mengenstern,

zamierzasz wejść w związki małżeńskie i dać nam pożegnalne śniadanie? Śniadanie! co za koncept pana barona—czemuż nie kolacyę raczej?

— Mówiłem wam, że muszę być dziś jeszcze u mojej pani, która, jak wiecie, ma wiele kaprysów i fantazyj.

— Może być — odparł hrabia — bo istotnie śliczna ta osoba jest chorą.

— Na melancholię, na smutek—zauważył Lenoir.

— No, wiesz co, baronie, tyś się chyba w czepku urodził! Żona chorująca na smutek i tęsknotę po zmarłej miłości—co za szansa! Taka kobieta nie znudzi cię nigdy tkliwością.

To rzekłszy, hrabia rozśmiał się na całe gardło.

— Moi drodzy... — zaczął mówić baron, chcąc zaprotestować.

— Co tam! — przerwał mu Lenoir. — Nie udawaj skromnego!

Mengenstern odszedł do okna by przerwać rozmowę, ale mu się to nie udało.

Niepowściągliwy Lenoir schylił się do hrabiego Michała i rzekł:

— Słuchaj, tych dwóch łotrzyc nie ma; więc dla rozrywki, pożartujmy z baronika; trzeba mu krwi napsuć.

— Dobrze—odparł hrabia.

— Ej! baronie— zawołał — uciekasz od nas, to nie ładnie!

— Nie uciekam i oto jestem na rozkazy panów.

To rzekłszy Mengenstern wrócił do stołu.

— Dobrze. Więc skoro jesteś, opowiedz nam historyę twojej przyszłej żony, bo ona ma historyę, wszak nie zaprzeczasz temu?

— Dajcie mi pokój! Zaprzeczam czy nie zaprzeczam, ale nic nie wiem.

— Szkoda że Winerbranda tu nie ma; ten musi wiedzieć wiele, chociaż i ja wiem coś także— ciągnął hr. Michał.

— Więc mów—prosił Lenoir.

— Historya to najzwyczajniejsza: Osoba ta miała dawniej narzeczonego, widziałem go parę razy w Krakowie—śliczny chłopiec! a i bogaty nawet. Kochała go więc, śliczna także, panna Natalia. Lecz — chłopiec ów zginął na wojnie, gdzieś w lesie...

Szufla nadstawił uszu.

— Jak się nazywał?—zapytał Lenoir.

— O! tego nazwiska jak również i jego narzeczonej, nie zdołasz nigdy wymówić. Trzymam o to zakład.

— Dobrze! idzie o 12-cie butelek szampana.

— A więc, drogi Robercie—rzekł, śmiejąc

się hr. Michał—powtarzaj za mną: Gricz-Czujski, Czujski-Gricz.

Lenoir łamał sobie język, krztusił się — nakoniec dał za wygranę.

— Do licha!—zawołał—przegrałem 12-cie butelek.

— Widzisz baronie że i twoje szczęście i cudze nieszczęście, na szampana przerobić można.

Tymczasem Szufla złożył dziennik. W myśle jego słowa usłyszane coraz to jaśniejszemi się stawały — wpadł na trop, opuścić go było niepodobna. Więc to Mengenstern żenił się z Nacią, która tęskniła za Antonim?..

Energiczny litwin postanowił działać.

Siedział jeszcze przez chwilę. To co słyszał szumiało mu w uszach; a działać miał nie za siebie—skupiał więc w sobie cały zasób spokoju i energii.

Wtem, na twarz jego padło ukośne spojrzenie Mengensterna, a gdy ich oczy spotkały się, drgnął jeden i drugi, jednocześnie. Każdy z nich uczuł, że stoczy walkę za chwilę. Była to iskra na proch rzucona.

Szufla wstał, podszedł do stolika przy którym siedział hr. Michał i reszta towarzystwa.

Grom z jasnego nieba nie byłby tak przeraził Mengensterna; na twarz mu wybiegły czerwone plamy a ruchliwe oczy rzucały promienie wściekłości i trwogi.

— Panie—rzekł Szufla, zwracając się do hr Michała—słyszałem tu wymienione nazwisko jednego z moich przyjaciół i krewnych: pana Czujskiego, jak również zapewnienie że on już nie. żyje—czy to pewne?

— Z kim mówię?—przerwał hr Michał, impertynencko patrząc w twarz Szufli.

— Nazywam się Młoński—odrzekł.

— To nie grubo!—zawołał drwiąco hr. Michał.

Szufli oczy zaiskrzyły się.

— To mój ex-kantorzysta—wtrącił Mengenstern, a zaraz potem zwracając się do Adama rzekł:

— Panie Młoński, czego pan chcesz od nas?

— Pan wszakże żenisz się z panną Natalią Gricz?

—A co panu do tego?

— Pan wiesz, że mnie „do tego“ wiele...

Błagający wzrok barona padł na zuchwale uśmiechniętą twarz hr. Michała.

— Przepraszam—rzekł hrabia.—Mówisz pan tak, jak gdybyś znał tę damę. Rzecz to wątpliwa, którą sprawdzić należy. Zrobimy to zaraz: Panie baronie! musisz mieć fotografię swej narzeczonej, ja mam także podobiznę innej osoby; zobaczymy czy ten pan rozpozna która z dwóch jest osobą o której mówimy.

— Ależ, ja nie chcę żadnej próby — zawołał Mengenstern.

— Daj pokój! — przerwał mu hr. Michał, i wziąwszy na stronę barona zaczął z nim mówić po polsku.

Reszta obecnych, nie rozumiejąc języka, przyglądała się ciekawie tej scenie.

— Chcesz się go pozbyć?—zapytał szybko hrabia.

— Koniecznie!

— A więc pożycz mi 60,000 frnków a ten zuchwalec zniknie—na zawsze.

— Dobrze! lecz nie mam tyle przy sobie.

— Ile masz?

— Dwadzieścia.

— Daj mi je, niby podając fotografię.

Mengenstern wysunął z pugilaresu fotografię i banknoty.

— Masz.

Hr. Michał wziął jedną i drugie, zasłaniając sobą całą tę manipulacyę. Poczem wyjął fotografię Nini-belles-dents zmięszał obie i podszedłszy do Szufli zapytał:

— Która?

— Ta—odparł Adam, wskazując na Nacię.

— Kłamiesz!—wrzasnął hrabia.

— Nie—zapalając się gniewem odparł Szufla.

— A la porte!—zahuczał hr. Michał, wskazując garsonom aby wyrzucili za drzwi litwina.

Z roznamiętnioną twarzą i okiem iskrzącem Szufla postąpił krok naprzód i zawołał:

— Znajdujesz się pan jak gbur i zdasz mi sprawę z tego.

Hr. Michał szybko pochylił się ku niemu.

— Oto masz sprawę, panie Młoński!—zawołał, a w tejże chwili muskularna dłoń jego, z całej siły uderzyła w twarz Szuflę.

Litwin zachwiał się, oczy mu krwią nabiegły, chciał się rzucić na hrabiego, lecz służba restaracyjna w tejże chwili pochwyciła go za ręce.

Zagniewane oblicze hr. Michała, pod wpływem żelaznej woli, wypogodziło się — wyprostował się, uśmiechnął.

— A co?—zapytał—jak pan sądzi?

Szufla trzymany—zionął przekleństwa.

— Obraziłem pana—mówił dalej hr. Michał—jeżeli się czujesz znieważonym i jak człowiek honoru, za swoje upomnisz się prawa, to cię puszczą—inaczej—za drzwi!

— Żądam satysfakcyi!

— Zaraz—odparł hrabia spokojnie — puścić, ale ty Lenoir strzeż mego buziaka—drwił dalej.

Garsoni odstąpili.

— Czy pan tu zna kogo?—zapytał hrabia litwina.

— Nikogo, chyba pana Mengensterna, choć mało.

— Może kogo z tych panów? Tylko uprzedzam, albo bić się będziemy dziś, zaraz—albo zupełnie nie, bo ja wieczorem wyjeżdżam.

— Bez zwłoki, zaraz na plac!—wołał Szufla. W uczciwym chłopcu, skrzywdzonym, sponiewieranym, szlachetna i szlachecka duma uderzyły potężnem tętnem; wszystko inne znikło na chwilę. Takiej podłości i tylu intryg nie podejrzywał—teraz chciał zemsty—niczego więcej.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł Winerbrand.

Szufla rzucił się ku niemu.

— Ty mi pomożesz!—zawołał.

— O cóż chodzi?

— Idzie—odparł hrabia—o to, żebyś pan raczył sekundować obrażonemu, z czego ja bardzo rad będę. Jeżeli trzeba drugiego świadka, to będzie nim pan Lenoir.

Po krótkich a bolesnych dla nieszczęśliwego Szufli objaśnieniach, Winerbrand, party przez Mengensterna, zgodził się sekundować Adamowi, wziąwszy pana Lenoir do pomocy.

Dwaj inni panowie byli sekundantami hr. Michała.

— Teraz, proszę cię—rzekł ten ostatni zwracając się do Lenoir'a—jedź prędko do Devisma;

weź parę pistoletów dobrych i ładunki. My naprzód, wy za nami, do lasku Bulońskiego. Choć to już zmrok pada, nic nie znaczy. W pierwszem lepszem miejscu staniemy, przemówień żadnych nietrzeba i—do roboty!

W kilka minut Lenoir był już z powrotem.

Mengenstern pożegnał towarzystwo i drapnął piechotą.

Czterech panów wsiadło do powozu Mengensterna—Winerbrand z Szuflą do drugiego—i ruszyli.

Jakaś rozpacz, boleść i wściekłość straszna, ogarnęły Szuflę. Nie spostrzegł się, że pod wpływem chęci pomszczenia krzywdy, zapomniał o wszystkiem. Ruch powozu i deszcz drobny, otrzeźwiły go nieco. Wydobył pugilaresik z kieszeni, wyrwał zeń dwie kartki i napisał na jednej telegram do Antoniego: „Nacia w Paryżu—Winerbrand wie—przyjeżdżaj“; na drugiej zaś, te wyrazy do Naci: „Antoni żyje — Winerbrand wie wszystko—pomódlcie się za mnie“.

— Proszę cię, poślij telegram ten Antoniemu, a bilecik doręcz pannie Natalii. Jeżeli zginę, pieniądze jakie mam przy sobie i papiery, oddasz także Antoniemu.

Biedak! w dobre powierzał się ręce....

Nagłość i okropność wypadku, nie pozwalały mu skombinować, że obok siebie ma zdrajcę.

Wtem, pierwszy powóz zatrzymał się. Hrabia wyskoczył.

— Mierzcie kroki!—zawołał.

Odmierzono ich dziesięć — na komendę trzy: wypalić mieli razem obadwaj.

Hrabia stanął u mety — spokojny, pogodny, jakby spełniał czyn bohaterski.

Naprzeciw stał Adam Szufla — zdeterminowany, odważny, nieobeznany z pojedynkami lecz pchany zemstą.

Hrabia ukłonił się.

— Baczność!—zawołał Lenoir.

— Raz—dwa!

Nim komenda trzy, rozległa się, pistolet hrabiego Michała wypalił.

Szufla zachwiał się — roztworzył ręce, i jak kawał drzewa padł, twarzą na ziemię.

Lenoir poskoczył i przyłożywszy rękę do serca litwina zawołał:

— Ani drgnął! Ale ty hrabio—dodał zwracając się z pogardą do p. Michała—dałeś strzał przed trzecią komendą.

— Ręka mi zadrgała.

— Wątpię!—ofuknął Lenoir.

— Potem o tem—zawołał jeden z sekundantów;—poilcya za nami—w nogi!

Jak byli, wszyscy czterej wskoczyli do powozu—Winerbrand sam wsiadł do drugiego.

Na placu pozostał tylko Szufla. Z dalekiego kraju, nie w imię hulanki i rozpusty, znajdował się w paryzkiej otchłani! Biedny trup litwina leżał samotny — deszcz padał coraz gęstszy, staczając krople po zakrzepłej i zsiniałej twarzy.

Tam, daleko, w kraju—ludzie dobrzy i swoi ludzie, pytać będą, czemu nie pisze—będą myśleć, że o nich zapamniał i płakać pocichu.

Biedny Szufla! padł zamordowany podstępnie—za nim zostawali: brat i przyjaciel, oszukana Nacia—i tłuszcza zuchwałych łotrów, którym on chciał stanąć na zawadzie. Teraz, już nie stanie...

Deszcz coraz gęstszy mył mu twarz, jednostajnie spadając na trupa;—ludzie chodzili zdaleka—coraz rzadziej. Może aż jutro sierżant miejski umieści go à la Morgue, by go tam ktoś poznał.

XII.

Winerbrand pędził, jak potępieniec — usuwał się on coraz w bok powozu—niechciał dotknąć się miejsca gdzie wpierw siedział Szufla. Paltot rozwiany, kapelusz z głowy zsunięty, włosy przylgnęły do czoła—krople gęste deszczu ściekały mu za kołnierz. Co chwila widział przed

sobą szklanne oczy Szufli—jakieś straszne widma i obrazy, przemykały się przed nim — dostawał gorączki.

Około godziny 9-ej Mengenstern udawał się do pani Gricz. W pochodzie tryumfalnym wstąpił do Winerbranda, palony ciekawością.

Winerbrand już powrócił. Niepokój nerwowy w jakim się znajdował pogarszał się co chwila—wzruszenie moralne, deszcz, przeziębienie, wywołały stan zapalny w wysokim stopniu.

Powróciwszy do domu zrzucił zmokły surdut—wyjął zeń tylko pugilares i telegram zmarłego, adresowany do Czujskiego—kartkę pisaną do Naci, przez roztargnienie i chorobę—zostawił w kieszeni.

Zobaczywszy wchodzącego Mengensterna wykrzywił się okropnie; cała ohyda popełnionego czynu stanęła przed nim uosobiona; podrażnione nerwy wymawiały posłuszeństwo.

— Zabity! zabity!—krzyczał.—Uwolnij mnie od swojej obecności, zostaw mnie!

Baron nie dał za wygranę—siadł przy stoliku na którym leżał wyjęty pugilares i kartka Szufli. Niby nie uważając przeczytał takową.

— Trzeba tu coś poradzić—mruknął.

Rada była łatwa dla—pana barona...

Winerbrand odwrócony do ściany oddychał ciężko i boleśnie—baron wyciągnął rękę i popro-

stu zwędził karteczkę. To mu przysporzyło pewnego zadowolenia z samego siebie.

— No, cóż — gniewasz się? — zawołał na Winerbranda—cóż ja temu winien? Wszystkiego narobił ten waryat hrabia.

— Tyś winien! znamy się dobrze... Tyś zbójca i ja także!—krzyknął zrywając się—i ja, i ja! Ale jeżeli nie skonam, wszystko naprawię: pójdę do panny Natalii, powiem żem zdradził, pójdę do policyi, oskarżę siebie i was—pójdę...pójdę!...

Nikczemne oblicze Mengensterna aż pozieleniało ze strachu.—Ha!—pomyślał—ma gorączkę, nie przekonam go—sam więc radzić muszę—czekajmy.

— Ależ mój Winiu! ależ mój drogi, oszalałeś—mówił dalej, uspokajając chorego.—Rozpaczasz i trwożysz się teraz, gdy już wszystko skończone.

— Nie, nieskończone! — odparł pół senny Winerbrand.

Szalony ból głowy, jakby żelazną obręczą ściskał mu czaszkę; powieki ciążyły, jak ołowiane. Wreszcie, zaczął majaczyć: słowa jakieś bezładne, wyrywały się, jedne za drugiemi.

Baron spokojnie lecz z coraz większem zajęciem wpatrywał się w rozpaloną twarz krewniaka, śledząc wszystkie jej ruchy i kurcze, jak me-

dyk najtroskliwszy—nareszcie jakiś zły uśmiech przesunął mu się po twarzy.

— Szansa za mną—szepnął.—Ten biedak traci przytomność.

Winerbrand rzeczywiście tracił zmysły. Bezprzykładnie gwałtowny tyfus rozwijał się w nim szybko.

Baron najpieczołowiciej strawił jeszcze kwadransik przy łożu chorego, poczem zawołał lokaja.

Był to zwyczajny typ paryzkiego sługusa. Mengenstern zmierzył go od stóp do głów.

— Czyś żonaty?—zapytał.

— Tak panie.

— A ile masz dzieci?

— Czworo.

— Czy jesteś ubogi?

— Dosyć—odparł lokaj z uśmiechem.

— Wolałbyś jednak nie być takim?

— Wolałbym. Któżby niewolał?

— To dobrze. Zresztą o nic tu złego nie chodzi. Twój pan chory, pewnie ma tyfus. Otóż, jeżeli przez dni dziesięć nikt z obcych, prócz ciebie, nie wejdzie do niego i jeśli żadne pismo, żadna posyłka ztąd nie wyjdzie—to dostaniesz za to odemnie dwa tysiące franków.

— To niewiele. A służąca z dołu, a portier?

— Dostaniesz trzy, ułatw się z niemi.

— Zgoda. A doktór?

— Doktora jutro sam sprowadzę, lub może pozajutrze dopiero; pilnować zaś proszę dobrze żeby choremu niczego nie brakowało—ja za wszystko płacę.

— Może pan być spokojnym.

— Oto 500 franków na zadatek, reszta dnia 28 września; o złamaniu umowy zaraz się dowiem a wtedy ani grosza.

Baron oddalił się. Wsiadł do powozu.

— Ulica d'Isly!—wyrzekł do stangreta, a potem wyciągnął się na poduszkach siedzenia, przymknął nawpół oczy i chwilkę pozostał jakby uśpiony, wreszcie uśmiechnął się złośliwie.

Winerbrand osaczony, narzędzie to zużyło się, zawadą nie będzie—pomyślał.

Potem, przypomniał sobie przedśmiertne zlecenie Szufli, które skradł z papierów Winerbranda — wyjął więc kartkę, przypatrzył się jej i włożył starannie do pugilaresu.

W kilku minut potem, był już w mieszkaniu narzeczonej.

Zaiste, dziwny to był wieczór przedślubny!

Szufla martwy spoczywał na mokrej ziemi—Winerbrand leżał w malignie—Czujski czekał spokojnie w Marsylii—hr. Michał spił się z Nini-belles-dents, by zagłuszyć w sobie resztki poczucia honoru i jakiej takiej uczciwości. Sam tylko przemądry Mengenstern, siedział obok swej ofiary, na sercu trzymając bilecik Szufli.

Gdyby grom spadł był z nieba, gdyby jakieś fatum, jakiś dziwny zbieg okoliczności, wydarł mu tę karteczkę! Ale grom z nieba nie spadał, okoliczności plotły się inaczej, a za kilkanaście godzin odbyć się miała ceremonia ślubna w kościele Magdaleny—jako uwieńczenie dzieła!

Tymczasem godziny upływały. Przyszły nowożeniec przepędził noc niespokojną—zdawało mu się że Szufla wstał, że Czujski przyjechał, że Winerbrand go zdradził.

W rzeczywistości jednak losy były łaskawsze. Nieboszczyka znaleziono nazajutrz i przeniesiono à la Morgue, a policya doszedłszy, dzięki jakiejś notatce po polsku pisanej, że był polakiem, dała znać o tem do biura emigracyjnego. Tam, rozpoznawano nieboszczyka i... wrzucono go do „wspólnego dołu“. Winerbranda pilnował przywiązany lokaj, sumiennie, co jednak przy rozwoju nadzwyczajnym choroby, stało się zbytecznem. Wreszcie Czujski — ładował na okręt towary.

O naznaczonej godzinie w kościele św. Magdaleny z wielką paradą odbyła się ceremonia ślubu. Powozów było niewiele, ale wszystkie świeciły od złota lub od herbów.

Pan młody oddalać się nie mógł z Paryża—interesa wielkiej wagi trzymały tę ministeryalną

głowę w bliskości giełdy; najął więc mieszkanie na Avenue de la grande armée, z pysznym ogródkiem pełnym krzewów, cienia i kwiatów—byle pani swej choć trochę przypominały wieś, za którą nieraz tęskniła.

A pani? Nacia stała się najzupełniejszym automatem, martwota w której się raz pogrążyła nie została przerwaną. Ani przygotowania przedślubne, ani słowa matki, ani pieszczotliwe uprzejmości wuja, nie zajmowały jej wcale i można było zastosować do niej ów wiersz Słowackiego:

„Falo ludzi! falo ludzi,
Co się przewracasz i smutna i mętna
Bez wiatru—któż cię obudzi?
Boleść szalona, czy miłość namiętna?“

Po skończonym obrzędzie wyszli z kościoła: baron tryumfujący, upojony powodzeniem, gotów sięgnąć pod szczyt nieba i kobieta automat—a za niemi szli: wuj, pani Gricz i reszta zaproszonych osób.

Pan Mikołaj zwrócił się do siostry:

— Bóg łaskaw — rzekł — jakoś doprowadziliśmy do skutku najświetniejszy związek. Przesądów nie mam, u was w Polsce nie wychowywałem się, a dwanaście milionów franków i przyszłość potężna—to dosyć!

Pani Gricz wyszeptała z westchnieniem:

— Byleby tylko była szczęśliwą!

— Będzie nią! Gdzież rozum?

— I ja mam to przekonanie—tęsknota minie—przyjdzie inne życie — potem... dzieci. — Uśmiechnęła się na tę myśl samą.

Wtem, kilka osób zbliżyło się winszując mamie i opiekunowi; wreszcie wszyscy wsiedli do karet i udali się do mera a potem na ucztę weselną.

Trzy dni minęło. Winerbrand otrzymał doktora z ramienia barona; przebieg choroby był nader niebezpieczny. W tym czasie, ze złotego swojego gniazdka, baron odwiedził go. Chory nie poznawał nikogo, bredził ciągle w gorączce; obecny właśnie lekarz zdecydował, że jest to najsroższy tyfus połączony z zapaleniem płuc i uprzedził Mengensterna ażeby przygotował się na kryzys, który prawdopodobnie skończy się śmiercią.

Poczciwy pan baron ucieszył się tą wiadomością. Wspólnik zbrodni sam, nieproszony, schodził ze świata! Mengenstern wrócił do domu z zamiarem nienarażania się więcej na zbliżenie do chorego.

Tak upłynęło dni cztery.

Było to zrana. Pani Natalia leżąc jeszcze w łóżku otworzyła oczy i przeciągnęła się ziewając. Naprzeciw niej, w szlafroku, stał nadobny mę-

żulek... Mężulek ów pochylił się teraz właśnie; oczy zamigotały mu ogniem.

— Śpioch mój najdroższy!—szepnął.

Coś, jakby uderzenie elektryczne, wstrząsnęło ciałem Naci: natura fizyczna i natura moralna kobiety, po długiem uśpieniu, drgnęły—popatrzyła w twarz stojącego nad nią człowieka. Ohydny był, z brzydkim odbłaskiem oczu, ten tłusty, zaczerwieniony i z twarzą świecącą potem, człowiek, który teraz stał nad nią pełen wahania—i żądzy.

Tymczasem, w ustroju fizycznym i moralnym pani Mengenstern, wstrząśnienia drobne, coraz szybciej po sobie następowały: żyłki nabiegały na skroniach—krew zaburzyła się — zmysły o sobie znać dawały i natura fizyczna zaczęła jaśniej określać odczute wrażenie. Wstręt okropny, wstręt do nieopisania, porwał ją silnym dreszczem; usta drgały, jakby we wzruszeniu namiętnem. Odraza, najpierw odczuta mimowiednie, później dopiero rozpoznana, świadoma siebie zupełnie, malowała się na jej obliczu. Natalia silniej wcisnęła się w poduszki, kołdrę podciągnęła pod szyję.

— Odejdź pan! odejdź—szepnęła.

Mengenstern uśmiechnął się głupio; znów pochylił się nad nią—ręce wyciągnął przed siebie.

— Za nic! za nic w świecie!—krzyknęła.— Precz! precz!

Niewaleczna natura barona tym okrzykiem porażoną została; cofnął się aż za próg. Wtedy pani Natalia jednym skokiem przy drzwiach stanąwszy zatrzasnęła je, a klucz szybkim ruchem obrócił się w zamku.

Mąż i pan, pozostał za drzwiami.

Rozirytowało go to trochę; skubnął łapkami, raz i drugi, po gładkiej drzwi politurze, lecz te stały nieporuszone.

— Lepiej nie raptem—mruknął do siebie — lepiej nie raptem; kobiety mają swoje dziwactwa—i z tem odszedł.

Tymczasem, całe jestestwo Naci budziło się z uśpienia. Przy wstręcie fizycznym, serce gwałtownym uderzyło tętnem; między tłustym uściskiem barona a nią, stanęła wpół mgle, postać ukochana. Nacia popatrzyła przed siebie, lecz postaci tej już nie było; zdało się jej tylko, że jakiś krwawy, blady trup, skarży się przed nią i przed Bogiem. Rozpacz potężna ogarniała biedną kobietą; mimowolnie spojrzała w wiszące naprzeciw lustro — wstręt fizyczny, jaki czuła do barona spotęgował się teraz jeszcze wstrętem moralnym jaki dla siebie odczuła — każde dotknięcie męża, każdy pocałunek jego, który aż dotąd padał na nią, jak na bryłę lodu, teraz zaczynał palić ją wstydem i hańbą. Przez chwilę stała jak posąg — gwałtownym ruchem obu rąk odrzuciła

w tył głowy, spadające włosy—a gdy spostrzegła odbitą w lustrze postać swoją, tak wspaniale piękną—„Nałożnica! — ryknęła z płaczem — Boże, przebacz!“

I przed łóżkiem kobiety pogrążonej w letargu moralnym i zmysłowym, klęczała teraz szlochając, jedna nieszczęśliwa więcej. Ona czuła, że nie sama tylko jest winną; coś jej mówiło że to jeszcze nie koniec smutnego dramatu jej życia.

O tejże samej porze, w mieszkaniu Winerbranda rozgrywał się smutny także dramat. Kryzys przyszła. Obok łóżka siedział doktór. Chory, wysiłkiem woli, szepnął do niego:

— Cóż sądzisz o mnie doktorze? mów prawdę.

— Prawda smutna—odparł lekarz,—ja tu nie mam co robić dalej.

W rozgorączkowanych oczach Winerbranda jakiś silniejszy zamigotał płomień. Chwilkę zatrzymał się: widocznie odzywskawszy nieco przytomności walczył o to, aby ją zatrzymać.

— Czy długo jeszcze żyć będę?—wyszeptał.

— Niebardzo...

— Dobrze—odparł cicho; mam zrobić rozporządzenia, chciałbym więc żyć jeszcze kilka lub kilkanaście godzin—czy to możebne?

Doktór najobojętniej skinął głową, wziął kawałek papieru i zapisał receptę.

— Jak będzie ci słabo, zażyj pan łyżkę, przytem zaordynuję wino. Gospodyni tego domu ma dobre.

— Dziękuję — odrzekł Winerbrand — teraz zostaw mnie pan samego.

Doktór wyszedł. W kilka minut potem, wniesiono wino i lekarstwo.

Chory długą chwilę zostawał bez ruchu, widocznie siły wymawiały mu posłuszeństwo; twarz jednak ożywiła się nieco a na czole znać było pracę myśli. Poruszył się na pościeli, oczy otworzył szeroko—uniósł się na poduszkach—jakaś siła nieprzeparta popychała go.

Znów przeszło minut parę, Winerbrand popróbował wstać—siadł na łóżku, popatrzył na papiery i nie dojrzał kartki, z telegramem dla Czujskiego. Zamyślił się i szepnął:—to robota Mengensterna. Potem, opierając się o stół, powoli zawlókł się do miejsca gdzie zawieszone były jego suknie; włożył rękę w kieszeń surduta i wyjął ztamtąd papier—była to karteczka Szufli pisana do pani Natalii; obejrzał ją i z takąż samą ostrożnością wrócił do łóżka, na które padł nawpół martwy ze znużenia.

Służący usłyszawszy jakiś ruch niezwykły w pokoju chorego, wbiegł i zastał go omdlałe-

go. Po chwili jednak przytomność wróciła a Winerbrand wpatrzył się w lokaja wzrokiem umierającego, na wskróś przeszywającym. Ten stał przerażony.

— Czy podczas mojej choroby nie było tu nikogo?—zapytał.

— Nikogo.

Winerbrand wpatrywał się jeszcze natarczywiej. Pod wpływem wycieńczenia sił i stanu nerwowego, wyrodziła się w nim, często bardzo zdarzająca się w takich wypadkach, przenikliwość bez granic—raczej jasnowidzenie.

— Ile ci zapłacono, Ludwiku?

Lokaj zmięszał się jeszcze bardziej.

— Tysiąc, dwa, trzy, cztery?

Na trzech, oczy Ludwika zamigotały.

— Trzy—już wiem. Więc dam ci pięć tysięcy jeżeli zaniesiesz zaraz kartkę moją, według adresu; gdy wrócisz z osobą po którą cię posyłam, dam ci klucz od biurka i weźmiesz sobie pieniądze nim umrę. Bezemnie klucza nigdy nie znajdziesz, a zamku rozbić nie zdołasz—czy rozumiesz?

Ludwik zrozumiał dobrze że lepiej jest wziąść pięć tysięcy niż trzy; gdzie był klucz o tem nie wiedział, zląkł się zresztą, tego żywego upiora—rzekł więc z determinacyą:

— Zaniosę!

Winerbrand zmiętą w ręką kartkę, której mimo zemdlenia nie wypuścił, pokazał lokajowi; potem wskazawszy na stół, rzekł:

— Daj kopertę i pióro.

Chciał pisać—nie mógł.

— Podaj mi wina!—jęknął.

Wychylił cały kieliszek—to go pokrzepiło i ręką drżącą dopisał na bileciku: „Jestem umierający, proszę się spieszyć". Włożył w kopertę, zakleił, nadpisał adres: Pani Natalii Mengenstern, Avenue de la Grande Armée i rzekł do służącego:

— Ruszaj z tem prędko, bo mnie także pilno! Oddasz list w ręce samej pani żeby nikt nie widział — nikt! Skoro tylko ona tu przybędzie, dostaniesz obiecane wynagrodzenie.

Z ulicy Bac na Avenue de la Grande Armée to podróż nielada! Pomimo to jednak, usłużny Ludwik pędził ile sił starczyło koniom paryzkiego fiakra.

Był to dzień feralny dla barona Mengensterna: rano, żona drzwi mu zamknęła przed nosem; teraz, najemnik go zdradzał.

Ludwik stanąwszy u celu, stosownie do utartego zwyczaju, udał się najpierw do portiera i zaczął z nim gawędkę, dopytując się o Mengensternów. Portier ten jednak nie był rozmowny.

— Jeżeli masz interes do pana, to na górę do kancelaryi, jeżeli do pani to do salonu; zresztą, jeżeli z prośbą, to do pana nie radzę, o pani nie wiem. Ale, oto powóz jej stoi gotów, pewnie do miasta wyjeżdża.

Rzeczywiście Natalia, w stanie zupełnego rozstroju nerwowego i gorączki moralnej, nie mogła wysiedzieć pod dachem który co minuta stawał się jej wstrętniejszym; chciała uniknąć spotkania z mężem. Niewysłowiona nuda i jakieś, jakby wycieńczenie ducha, opanowały ją zupełnie; kazała więc założyć konie i, bądź co bądź, postanowiła wyjechać nieco na miasto.

Konie zaszły, piękne, gniade, rasowe konie pana Mengensterna.

Natalia właśnie schodziła do powozu, gdy obok drzwiczek stanął Ludwik; przypatrzył się pilnie, zauważył dobrze ruch ręki wskazujący woźnicy kierunek i pobiegł pędem o kilkanaście kroków naprzód. Tam dopiero, skoro usłyszał tuż za sobą turkot kół, sprytny sługus przypadł do drzwiczek karety.

— Pani!—zawołał—mam list ważny, bardzo ważny!

Natalia ściągnęła sznurek, konie wstrzymały się, Ludwik oddał bilecik.

W tejże chwili, marmurowa twarz kobiety, pokryła się trupią bladością.

— Gdzie?

— Ulica Bac N. 17—odparł służący.

— Weź fiakra, albo raczej siadaj na kozioł i prowadź—szybko!

Za chwilę Ludwik siedział okok stangreta.

— Prędzej! — wołała Natalia — i gniadosze Mengensterna puściły się galopem.

A Natalia? Grom nagły w nią uderzył! Wszystkie myśli, pojęcia, uczucia, wszystkie marzenia, wszystko to co kochała i co nienawidzieć zaczęła, wszystko co było jej szlachetnością i hańbą, potężnem tętnem nderzyło w sercu. Był to chaos—a po za tym chaosem jeszcze nic nie widziała w tej chwili, tylko ból i hańba, tylko chwile rozpaczy i nadziei, z błyskawiczną szybkością następywały po sobie.

Zgłuszony turkot powozu zwiastował jej że przejeżdża przez most na rzece.

— Już tak blisko...—szepnęła.

Jakiś odcień zastanowienia przemknął jej przez myśl.

— Umierający—mówiła do siebie. — O! Boże, daj mi chwilkę spokoju i odrobinę odwagi.

Kareta zatrzymała się—Ludwik zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki.

— Tu, na drugiem piętrze—rzekł i podążył naprzód.

Z bijącem sercem Natalia weszła do pokoju.

Wrodzona siła organizmu, wino i proszki, przywołały Winerbranda do zupełnej przytomności—czekał, siedząc na wpół oparty—a wyglądał okropnie.

Natalia drgnęła. Ten sam, ten sam... pomyślała.

— Czyś pan mnie tu przyzwał?—rzekła.

— Wyjdź Ludwiku—wyszeptał chory.

Ludwik nie ruszał się — Winerbrand zwrócił się do Natalii i rzekł:

— Weź pani ten klucz od biórka i wypłać temu człowiekowi pięć tysięcy franków; jest to cena którą przelicytowałem Mengensterna. Proszę się spieszyć! chwile są drogie.

Jakoż niebawem, Ludwik zapłacony opuścił pokój.

Znękana cierpieniem twarz Winerbranda, przybrała tkliwszy wyraz.

— Pani—rzekł,—dla mnie już nadszedł koniec. Życie było podłe, niech choć śmierć będzie lepszą; tracić słów nie mogę, bo mi się w głowie już mąci. Uzbrój się pani w odwagę i słuchaj— a wysłuchawszy — przebacz, tak, przebacz w imieniu moich ofiar... Czy przebaczysz?

— Przebaczam—szepnęła Nacia.

— Oto moja spowiedź: Zdradziłem wszystkich, sprzedałem wszystko: uczciwość, serce, ludzi. Jestem podłym i zdrajcą, ale jest ktoś jeszcze

podlejszy odemnie. Słuchaj, oto cała historya: i zaczął, szczegół po szczególe, opowiadać wszystko. Gdy doszedł do zgonu Szufli rzekł:—Tego zabili a raczej zamordowali, lecz temu jam już niewinien i to mnie nawróciło właśnie. Bóg łaskaw że śmierć mi zsyła, bo przynajmniej męczyć się długo od wyrzutów sumienia nie będę. Antoni żyje, jest w Marsylii. Jedź tam pani! powiedz mu wszystko; powiedz, żem go zdradził,—sprzedał,—że byli tacy co kupili: wuj, matka i mąż.

Natalia ukryła twarz w dłonie.

— Pani! — jęknął Winerbrand — spojrzyj na mnie i przebacz; zaklinam cię, na twoje nieszczęście, na łzy, na twoje życie przezemnie złamane! Wspólnikom mojej zbrodni powiedz, niech mnie przeklną—o to nie dbam. Lecz wy oboje: Antoni co mnie piersią własną zasłaniał i ty ukochana przez niego — bądźcie szczęśliwi. Trupa mojego proszę, rozkazuję nawet, wrzucić w dół wspólny, obok Szufli; tam go może przeproszę. Jest to moja ostatnia wola. Pieniądze, które weźmiesz pani zaraz, z tej szafy, proszę rozdać biednym rodakom.

Mówiąc tak, chory podniósł się prawie na łóżku.

— Przebaczcie! przebaczcie! — zawołał. — Szuflo! już idę do ciebie...—dodał, i padł na poś-

ciel drgając konwulsyjnie. Ręka jego ścisnęła kurczowo dłoń Natalii, pot zimny oblewał mu czoło i ręce; otworzył oczy i wpatrzył się w nieszczęśliwą a usta jego szepnęły coś niewyraźnie.

— Przebaczam ci, wobec Boga i ludzi, z serca i z sumienia mego, przebaczam—wyrzekła uroczyście Natalia.

Coś nakształt uśmiechu przemknęło po ustach umierającego.

Winerbrand zaczął konać spokojnie.

Za kilka chwil potem, ofiara modliła się już za kata.

XIII

Główny przedsiębiorca tej całej manipulacyi, Mengenstern, przechadzał się wtedy właśnie niecierpliwie po mieszkaniu na Avenue de la Grande Armée—samotny.

Nacia wyjeżdżając z ulicy Bac, rozkazała stangretowi jechać do Bulońskiego lasku.

Po przejażdżce trwającej przeszło godzinę, stan apatyi począł ustępować a natomiast rodzaj szału i dzikie pragnienie zemsty, wyradzały się w jej istocie całej.

Wrócić do domu męża nie chciała, ani do matki nawet. Wszak była teraz kobietą zamężną i panią swej woli — kazała więc stangretowi wra-

cać nazad przez Włoskie Bulwary i przez ulicę Richelieu.

Jakieś osłabienie fizyczne ogarniało ją stopniowo—rzuciła okiem na prawo, tam stał hotel w którym przemieszkała kilka dni pierwszych zaraz po przyjeździe do Paryża, gdy miała jeszcze myśli czyste, nadzieję w sercu i przyszłość przed sobą. A teraz?

Kazała zajechać przed ten hotel, i zajęła w nim zaraz, jeden z gotowych apartamentów. Zresztą, biedna, zdruzgotana piorunem nieszczęścia Nacia, czuła się chorą. Jakaś senność coraz silniejsza ogarniała ją; ból głowy, jakby pierścieniem ściskał czoło. Winerbrand, gdyby żył jeszcze, mógłby zawołać, jak bohater mickiewiczowskiej Alpuhary: „Pójdźcie i patrzcie na me katusze—wy tak musicie umierać!“

Najniewinniejsza, ofiara wszystkich i tą razą za wszystkich cierpieć miała...

Natalia czuła się coraz słabszą: rozstrój nerwów i osłabienie organizmu wzmagały się szybko. Nieszczęśliwa kobieta zebrała resztkę sił i wysłała przez słangreta list do matki, w którym pisała:

„Wiem o wszystkiem — wiem że Antoni żyje, wiem co zrobiliście: ty, wuj i pan baron, ażeby mnie oszukać. Po tem co się stało ani żyć z wami, ani widzieć was już nie chcę. Czuję się chorą i

cieszę się na myśl, iż może Bóg miłosierny pozwoli mi zakończyć, wraz z życiem, męki jakich doznaję. Was wszystkich proszę abyście mnie zostawili sobie samej tylko, a list ten piszę po to, abyście niepotrzebnych zabiegów i starań nie czynili napróżno i zrozumieli, że nikogo z was—nawet ciebie, matko, widzieć nigdy i nigdzie nie chcę".

Po odesłaniu tego listu, Natalia usiłowała przezwyciężyć ogarniającą ją niemoc i zebrać myśli do jakiegoś postanowienia—co teraz uczynić miała?

Wiedząc, że Antoni znajduje się w Marsylii, postanowiła udać się tam jaknajprędzej. Wprawdzie Winerbrand zapomniał jej dać dokładnego adresu Czujskiego—lecz to nie stanowi przeszkody. Znajdzie go tam, choćby jej przyszło chodzić od domu do domu.

Powziąwszy takie postanowienie Natalia, zamówiła w hotelu powóz, który miał ją nazajutrz odwieść na pociąg ranny odchodzący do Marsylii, i—już bezwładna prawie udała się na spoczynek.

Nad ranem jednak, sytuacya zmieniła się pod wpływem rozwjjającej się wciąż choroby. Zamiast pojechać na pociąg — biedna kobieta leżała w łóżku a przy niej siedział doktór—i badał

uważnie puls, majaczącej już w malignie pacyentki.

W kącie tej hotelowej sypialni, siedziała zapłakana mama Gricz.

— Biedne moje dziecko!—szlochała.—To dla niej, to dla jej szczęścia...

— Cóż doktorze? — zapytała odchodzącego eskulapa.

— Wypadek rzadki, tyfus najgwałtowniejszy, stan nerwowy bezprzykładny; temperatura czterdzieści jeden, katastrofa możebna, lecz i wyzdrowienie możebne także. Na teraz nie przepisuję lekarstw żadnych: tylko okłady zimne na głowę. Czy były jakie, tak zwane wstrząśnienia moralne?

— Były...

— I czy gwałtowne?

— Zdaje się.

— W takim razie zalecam chorej zupełny spokój; nienależy sprzeciwiać się jej w niczem i nie dopuszczać powodów do rozdrażnienia. Nietrzeba też z nią mówić ani pytać o nic. Spokój i zimna woda—to zdaje się jasne.

— Bardzo jasne doktorze, ale co mi pan powie o stanie jej zdrowia—czy bardzo niebezpieczny?

— Nic nie powiem na teraz...

W tym właśnie momencie, Nacia szarpnęła się na łóżku; zdaje się że poznała głos matki.

— Ach, Naciu!—zawołała pani Gricz.

Nacia ocknęła się.

— Niechcę!—zawołała—nie chcę was widzieć Zabiliście mnie! Nie chcę...—szepnęła ciszej i bezprzytomna przymknęła oczy.

Eskulap spokojnie popatrzył na panią Gricz i rzekł:

— Pani sprawiasz chorej przykrość swoją obecnością; to niedobrze. Trzeba się ztąd usunąć zupełnie.

— Za nic!

— Nawet za życie córki?—zapytał ironicznie medyk.

— Nawet! nawet!

Chora wydała jęk głuchy.

— Odejdźmy ztąd—rzekł doktór.

— Teraz gdy jesteśmy sami—dodał, skoro już wraz z panią Gricz przeszedł do przyległego pokoju — proszę mi opowiedzieć co spowodowało niechęć córki do pani; proszę mówić szczerze; muszę wiedzieć prawdę — jeżeli mam walczyć z chorobą — niech wiem z czego ona powstała. A uprzedzam panią, że stan chorej jest groźny.

Pani Gricz zaczęła, acz oględnie, wyjaśniać rzecz całą.

— Dość! Już rozumim—przerwał eskulap.—

Przymus, podejście, jednem słowem wyrodził się w chorej wstręt moralny. Wobec tego proszę, ażebyś pani usunęła się zupełnie z pokoju córki podczas choroby; czuwać tam będzie siostra miłosierdzia, którą tu zaraz przyślę. Pani możesz pozostać w tym pokoju—lecz niech chora nie wie o tem wcale; niech się nie irytuje i nie drażni niczem—inaczej... śmierć.

— Czy to być może?

— Tak być musi—odparł doktór.—Do widzenia!

— A to mi czuła kobiecina—mruknął schodząc ze schodów — sprzedała córkę a teraz gotowa ją dobić natręctwem... Lecz przyślę tu anioła stróża, który temu przeszkodzi.

Jakoż, wkrótce potem siostra Izabella, jedna z siostr miłosierdzia, czuwała nad chorą z tem zaparciem się siebie, i z tą nieprzebraną dobrocią, która dzikich rozbraja a złych nawraca.

Tymczasem Antoni Czujski acz mocno zajęty ładowaniem towarów na okręty w Marsylii, niecierpliwił się coraz bardziej i niepokoił, a nie doczekawszy się przez dni dziesięć żadnej wiadomości od Szufli—sam ruszył za nim do Paryża.

Stanąwszy tam, wprost z dworca kolei udał się na ulicę, gdzie było biuro emigracyjne.

Pan Gabour, agent do spraw polskiej emigracyi, zapytany o adres Szufli w krótkich słowach objaśnił Antoniego, iż pan Adam Szufla vulgo Młoński, został zabity w lasku Bulońskim; że są pewne poszlaki iż tylko zemsta osobista lub wypadek, mogły być przyczyną jego śmierci. Protokół o tym wypadku podpisany przez parę osób wybitniejszych z emigracyi, przedstawił Czujskiemu a zarazem oddał mu pieniądze które przy zabitym znaleziono.

Poczciwy pan Gabour bolał szczerze nad zgonem Adama. Znał on wszystkich emigrantów i wszystkie ich prawdziwe i przybrane nazwiska, jak również sposoby i środki do życia—słowem, był im szczerze przychylnym.

— Gdzie i u kogo był Szufla?—zapytał Antoni.

— Gdzie? o tem już wkrótce wiedzieć będziemy. Był jednak ktoś, który o wszystkiem wiedział — niejaki Winerbrand.

— A! Winerbrand! Masz pan słuszność—biegnę natychmiast do niego.

— Nie spiesz się pan—wyszeptał agent spokojnie—Winerbrand umarł.

— Jakto! umarł?

— A tak, na tyfus, najprościej w świecie.

W mieszkaniu tego nieboszczyka papierów lub objaśnień żadnych zgoła nie znaleziono; były tylko pieniądze i adres krewnych w Warszawie; do tych już pisaliśmy.

— Ależ, to rzecz okropna! Gdzież się więc udam? gdzie dowiem się o tajemnicy, która całą tę sprawę przenika... Czy byłeś pan u Mengensterna? Wszak Winerbrand tam służył a po części i my także, za jego protekcyą...

— Byłem, lecz pana barona nie widziałem, gdyż odwiedziłem go zaraz po ślubie, zawartym także z waszą polską panną. Pójdź pan tam i rozmów się osobiście. Potem zaś proszę wrócić do mnie—może też co ułożymy...

— Z kim się ożenił pan Mengenstern?

— O! wymówić takie nazwisko, to rzecz która przechodzi moje siły. Wszak jestem waszym przyjacielem, nie łamcie więc języka dobremu panu Gabour... Ale—dodał „dobry“ p. Gabour“—oto jest notatka, która was objaśni w tym względzie.

Antoni przeczytał głośno:

„Mr. Baron Mengenstern marié a M-elle Natalie Gricz, prononcez Gritz“.

— Podła!—sarknął głucho i zbladł jak ściana.

— Co panu jest?—zawołał agent.

— Nic.

— Pan zna tę sprawę?

— Nie znam.

— A osoby?

— Cokolwiek...

— Więc?

— Więc nic! Do widzenia.

— Do widzenia—rzekł agent—a proszę pamiętać że jestem zawsze gotów na usługi wasze.

Biednemu Antoniemu w głowie i w sercu szalała straszna burza. Stracił on wszystko od jednego zamachu: przyjaciela, narzeczoną, wiarę w uczucie i we wszystko co dobre na świecie. Jakiś straszny, cierpki, ironiczny uśmiech okołił mu usta i przykuł się do nich, jakby na wieki.

Powoli, jakieś zimno napełniało mu serce. To co w tem sercu i w głowie trzymało się jeszcze, cały pierwiastek wiary, nadwątlony ciężkiemi zawodami—runął.

Czujski szedł zwolna—niby spokojny, niby obojętny: cierpiąc straszne męczarnie, patrząc na wszystko jakimś szklistym wzrokiem...

Wszedł na plac de la Concorde. Tam bataliony turkosów defilowały jedne za drugiemi; muzyka grała marsz wesoły a żołnierze szli raźnie pobłyskując bronią.

Bezmyślny automat stanął, nie mogąc się przez tłum przecisnąć.

— A gdyby?..—mruknął nagle—a gdyby?..

Stara, dziedziczna krew żołnierza, z dziadów pradziadów, w takt muzyki zagrała.

— A gdyby?—szepnął biedak—raz jeszcze... Kto wie? może tam znalazłbym koniec męce?...

Pomyślawszy to, zwrócił się do stojącego obok francuza.

— Panie—zapytał grzecznie—gdzie jest biuro dla ochotników legii zagranicznej?

— Nie wiem—odparł zagadniony—ale dowie się pan o tem na Quai d'Orsay w kawiarni, gdzie schodzą się wszyscy oficerowie? Lecz... czy można dać panu jedną radę—dodał, wpatrując się w Antoniego.

— Owszem—proszę!

— Zatrzymaj się pan do jutra...

Gorzki uśmiech co raz już był osiadł na ustach Antoniego, skrzywił mu wargi wyrazem niewysłowionej, bezgranicznej boleści.

Francuz popatrzył się nań uważniej i dodał:

— Ba! wszystko jedno—idź pan, choćby natychmiast.

Antoni zwrócił się do ogrodu Tiuleryjskiego; tam siadł odpocząć na ławeczce.

Obok, siedział czterdziesto-letni mężczyzna, wzrostu średniego, czarniawy, suchawy—z figurą nieco naprzód podaną. Ten spojrzawszy raz i drugi baczniej na Antoniego, zawołał:

— Jak się pan ma! Wszakże to pan Przemelski?...

— Tak—odparł Antoni—ale...

— Nie przypomina pan sobie mojej persony? Niedawno przyjechałem z Turcyi, a miałem przyjemność spotkać się z panem w Marsylii.

— A, i owszem—pan Mrozowicki.

Mrozowicki rzeczywiście był w Turcyi, gdzie uczuł potrzebę zapisania się do istniejącego tam wówczas pułku kozaków sułtańskich; przebył w nim czas jakiś, gdy wtem, żona jego przyjechała do Paryża i wezwała listownie małżonka. Szlachcic był subordynowany; dwom panom służyć: słuchać, i kozaczej komendy i babskiej gawędy, to jakoś nie idzie—pomyślał, a pomyślawszy włożył mundur paradny i poszedł do starszyzny kozaczej z żądaniem urlopu. Tam naśmiano się z niego trochę, ale dano urlop poczciwemu Mrozowickiemu. Szlachcic tedy „machnął“ do Paryża, gdzie wprawdzie żony słuchał—ale i o sułtanie nie zapominał także, werbując po drodze ochotników do wojsk padyszacha.

Mrozowicki zerknął na Antoniego — chłop jak dąb, zdrów, muskularny, przystojny — do służby, jak raz się nadawał. Trzeba go zwabić—pomyślał.

— Co pan tu robisz? — zapytał.—Czy dawno z Marsylii?

— Dziś—odparł.

Mrozowicki baczniej mu się przypatrzył. Twarz Antoniego zdradzała boleść wielką. Musi być goły, zakonkludował werbownik, albo go jakaś klempa w trąbę puściła—bude kozak z niego!

— Ej!—ciągnął dalej—jak wam się chce po tym bruku łazić? Ja tu przyjechałem, bom musiał: jejmość wezwała, ale radbym, choćby zaraz, nad Dunaj, do Carogrodu—do swoich...

A, prawda! pan tam służy—dodał uważniej Czujski.

— Służę i dobrze mi z tem.

Antoni zadumał się — Algier czy Turcya, wszak mu to jedno?

— A co, panie? — zawołał Mrozowicki; — dalibóg, tęgi by z pana był oficer—jedźmy!

Antoni przeciągnął się, jakby pod wpływem wielkiego znużenia

— Dobrze—odparł—byle zaraz.

Mrozowicki aż podskoczył z podziwu.

— Jakto, zaraz?

— A tak—wieczornym pociągiem. Czy pan pojedziesz także?

— No, tak z kopyta, nie mogę. Ale dam listy.

— Dawaj.

— Jakto, więc to nie żart?

— Słowo—odparł Antoni—za cztery godziny jadę.

— Służę do kawiarni—rzekł kozak.

Tam, napisał listy rekomendacyjne i uścisnął Antoniego tak serdecznie, że aż francuzi gapić się zaczęli.

— Dalibóg! —wołał w uniesieniu—to nadzwyczajne, to cudowne! Zobaczysz pan, że za rok będziesz baszą!

Cztery godziny minęły szybko. Wlokły się one jednak powoli złamanemu człowiekowi. Czujski chciał co prędzej uciec z Paryża; bał się tu spotkać z Nacią; bał się usłyszeć od niej lub o niej słówko uniewinienia,—podług niego uniewinnienia tu być nie mogło! Antoni słyszał tylko szmer drzew starych obok białego domu; naszczekiwanie psów; widział oświetlone okno, później odczuł, dziś jeszcze, dawny uścisk gorący i przypomniał sobie wyrazy: „chyba śmierć“. Serce przestało w nim bić na chwilę. Gdy po tych wspomnieniach stanął mu przed oczyma obraz inny, na którym był: pół-żyd rumiany i ona... w jego objęciach—drgnął boleśnie.

— Tu nie ma przebaczenia!—zawołał.

Tym co niecierpią lub niecierpieli nigdy—pojąć nieraz trudno, potępić łatwo—lecz wynaleźć równowagę w sobie i ból opanować—to zadanie ciężkie! Wobec wielkich katastrof wszelkie teorye nie zdadzą się na nic.

Może, gdyby wiedział że Nacia temu co za-

szło nie była winna; że w tej chwili leży na śmiertelnej pościeli, że go kocha... możeby się nawrócił—lecz... tylko „może“ bo Antoni miał charakter z jednej wyciosany bryły i nie przypuszczał żadnych ugód, żadnych zwątpień, żadnych układów, z raz danem słowem.

— Umrzeć, miała prawo, lecz nic więcej!— szepnął do siebie i uśmiechnął się gorzko.

O naznaczonej godzinie, z rzeczami już spakowanemi, Antoni wskoczył do pociągu, głowę przez okno wysadził i wyszeptał:

— Obym cię nigdy nie widział, potworny Paryżu i was wszystkich! Może ludzie wpół dzicy— lepsi. Zobaczę!

Na drugi dzień skończył rachunki z panem Dumetier i siadł na statek „Le Danube“.

Błękitne morze Śródziemne, spokojne i czyste, z wybrzeżami Włoch, z cudnem niebem Archipelagu, z milionami gwiazd odbijających się w falach, niewiele oddziałać mogło na zmartwiały organizm Antoniego. Statek pruł wodę spienioną i ruszał szybko! Tylko czasami, gdy brzegi niknęły w mgle wieczoru, gdy naokół nie widać było nic prócz fal i powietrza, gdy człowiek czuje się atomem wobec potężnej natury i gdy wszystkie jego uczucia i myśli potężnieją lub gną się, przed siłą przedwieczną—wtedy tylko, jeżeli nie lżej na duszy, to ciszej mu w sercu było.

XIV.

A Nacia?

Młodość i siła mają swe prawa! Więc też pod wpływem jednej i drugiej, przy umiejętnej opiece doktora, po upływie czternastodniowej gorączki przytomność powoli wracać jej zaczęła; życie jakby na nowo, kroplą po kropli, wstępowało w biedną kobietę—bo trudno jest umrzeć tym którzy o życie nie dbają....

Jednakże, choć wycieńczenie fizyczne ukoiło nieco ból moralny, myśl biednej rekonwalescentki biegła wciąż ku Marsylii. Kogo tam posłać, jak się dowiedzieć, co przedsięwziąść?

Podczas takich rozmyślań, usłyszała w przyległym pokoju znany jej dobrze a zawsze sympatyczny głos Draszkowicza.

Młody agitator bulgarski od czasu rozgłośnego w świecie towarzyskim zerwania Naci z mężem, odwiedzał ją ciągle; domyślał się w niej ofiary przymusu lub podstępu a te przypuszczenia jeszcze bardziej rozgrzewały jego zastygłe nadzieje. To też często dopytywał się o panią Natalię a w tej chwili właśnie prowadził z mamą Gricz rozmowę.

Po bladem czole kobiety, przemknął promyk nadziei.

Zadzwoniła.

— Prosić tu pana Draszkowicza — wyrzekła cichym głosem do pielęgnującej ją szarytki.

Te pierwsze wyrzeczone przez chorą wyrazy, wzbudziły wielką radość w pani Gricz i w Draszkowiczu. Weszli też do niej zaraz, oboje.

— Przepraszam mamę — rzekła Nacia — ja mam tylko do pana interes...

Oparta na poduszkach, blada, z włosami rozpuszczonemi i z wyrazem cierpienia na twarzy, wesoła niegdyś Nacia stała się teraz, jakby posągiem boleści.

Gdy pani Gricz, zasłoniwszy oczy chusteczką, wyszła—Nacia podała rękę Draszkowiczowi.

— Pan wie co mnie spotkało?—spytała zcicha.

Draszkowicz skinął głową.

— Ale pan nie wie wszystkiego. Miałam, jeszcze w ojczyznie, narzeczonego, któremu poprzysięgłam wiarę. Powołany przez obowiązek i honor, poszedł on tą drogą, którą i pan wkrótce, być może, pójdziesz... Otóż potem, znaleźli się tacy, którzy mi powiedzieli że zginął; przynieśli dowody przekonywające i opowiedzieli szczegółowo zgon jego. Wtedy zamarłam z boleści; przyrzekłam jednak matce i wujowi, że ich słuchać będę. Nie wiedziałam co czynię; zresztą, po jego śmierci co mnie obchodzić mogło? Chyba matka i wuj. Chciałam oszczędzić zmartwienia im

obojgu, chciałam im tylko dogodzić: grób, czy mąż—było to dla mnie jedno. Wydali mnie bezprzytmną jakby, za tego który tę intrygę ułożył i dowody śmierci Antoniego mnie przesłał. Lecz dziś, wiem już że narzeczony mój żyje i żem popełniła krzywoprzysięztwo! O, nie żądaj pan odemnie bym powiedziała więcej... bo...

Draszkowicz załamał ręce.

— Pani! pani!—zawołał.

Nacia wysilona, bez tchu prawie, zamilkła na chwilę a potem, powoli zdobywając się na nadludzką energię rzekła:

— Ja liczę na pana; mam w panu nadzieję i ufam że mi pomożesz.

— Zrobię wszystko co pani każe.

— Dziękuję! A więc, mój narzeczony nazywa się Antoni Czujski; w albumie czerwonym, który pan znajdziesz w mieszkaniu mamy, jest jego fotografia; to album racz pan przynieść do mnie. Z fotografią udasz się pan do Marsylii, zejdziesz miasto całe i wynajdziesz Antoniego? wtedy opowiedz mu wszystko. Znajdziesz go samotnego już teraz; niedawno jeszcze, miał on przy sobie brata ciotecznego, Adama Szuflę—lecz tego zbrodniarze już zabili... bo lękali się żeby mnie tu nie znalazł i nieuwiadomił o wszystkiem... A teraz, skoro pan już znasz moje nie-

szczęśliwe dzieje — powiedz, czy spełnisz moją prośbę?

— Album natychmiast przyniosę, do Marsylii wyjadę zaraz, będę szukał i znajdę.

— Dziękuję — wyszeptała chora — dziękuję! Powierzam w ręce pańskie to, co mam najdroższego na świecie.

W godzinę, Jan Draszkowicz przyniósł z domu na ulicy Isly, album, i opatrzony w fotografię Czujskiego puszczał się w podróż.

Dzielny ten człowiek cierpiał jednak strasznie: kochał on Nacię i chciałby być od niej kochanym — czuł że w tej chwili przychodzi mu spełnić ofiarę i spełniał ją z radością. Są dusze na świecie, którym Opatrzność nakreśliła drogę cierpień i ofiar, a wzamian dała najszczytniejsze uczucie radości czystej i wielkiej—z dopełnionego poświęcenia. Taką była dusza młodego bulgarskiego agitatora. Chwilę przecierpiał—przemarzył chwilkę—i... szedł drogą prostą.

Nacia czekała—teraz już była pewna wygranej.

Draszkowicz po kilku dniach pobytu w Marsylii wpadł na trop. Był u pana Dumetier, wypytał się o szczegóły: data wyjazdu Szufli i data jego śmierci, schodziły się zupełnie. Z okazanej mu fotografii, pan Dumetier poznał natychmiast

Antoniego, tylko że znał go pod innem—przybranem na-zwiskiem.

Z temi wiadomościami Draszkowicz powrócił do Paryża.

Był to dla Naci cios nowy; pocieszyła się jednak wiadomością że żył ten którego kochała. Reszty... domyśliła się: czuła, jakby spoczywający na jej czole wzrok Antoniego, pogardliwy i dumny; zdawało się jej że straszny trup Szufli domagał się od niej zemsty.

Życie biednej kobiety stawało się męczarnią.

Z mężem i z wujem Adetą, zerwała stosunki zupełnie; z matką jednak, rozłączyć się nie mogła.

Dalszych zabiegów nateraz zaprzestała, czekając na zupełny powrót do zdrowia. Wtedy zamierzała jechać na Wschód. Dokąd mianowicie? nie wiedziała jeszcze. „LeDanube“ nie wydał jej tajemnicy pobytu Antoniego—wysadził on swoich pasażerów za Bosforem i spokojnie płynął nazad, nie troszcząc się o nich wcale.

W owym to właśnie czasie południowi słowianie coraz nabierali powietrza... Garnizony tureckie z fortów Belgradu były na wymarszu—raja zaczynała się budzić.

Draszkowicz żył jak w gorączce; myśli, marzenia i czyny swoje powierzał on tej którą kochał. Cierpienia Bulgaryi porównywał z cierpieniami Naci. Plany i zamysły roztaczał potężne.

Gorące słowo, szlachetny zapał i wiara głęboka młodego patryoty, stopniowo lecz ciągle oddziaływały na umysł biednej kobiety. Jej obecne życie, życie rozpaczy, pozbawione celu, poczęło się zapełniać. Na zgliszczach dawnych marzeń, rosły nowe; ideały swe dawne przyoblekła w nowe szaty i niekiedy, ta nieszczęśliwa, zmartwiała istota czuła że serce jej znowu bić zaczyna. Lecz ani jedno z tych uderzeń, nie było przeznaczone dla Draszkowicza.

Na błękitnej powierzchni morza snuł się pas dymu i szeroko rozchodziły się fale. Statek mknął szybko — a na tym statku stał człowiek którego kochała, więcej niż wszystko na świecie. Pas dymu niknął, w marzeniach — zdawało się jej, że widzi rzekę szeroką, góry zielone, ludzi w jaskrawym wschodnim stroju i że ten sam człowiek ze statku „Le Danube“, dowodzi nimi. Później, słyszała niby huk strzałów i widziała Antoniego wiodącego młodszych braci na bój za wolność przeciw turkowi. Widziała siebie obok niego i oczy jej łzami zachodziły. Coś, jakby uściśnienie pożegnalne, przypominało jej: i dom biały i stare drzewa i przyjaciela obok i wyrzeczoną wtedy przysięgę „chyba śmierć“. Serce drżeć zaczynało—myśl już dalej nie szła.

Tak minęło parę tygodni.

Pewnego wieczoru Draszkowicz wszedł do

Naci bardziej ożywiony niż zwykle. Zaraz też wyspowiadał się przed nią szczerze.

W Bulgaryi przygotowywał się już ruch. On był wtajemniczony—ba! nawet on go prowadził. musiał tedy wyjeżdżać i przybył pożegnać Nacię błagając, by ona także przeniosła się bliżej głównego ogniska. Wskazywał jej Bukareszt, jako centrum agitacyi ówczesnej.

Pani Gricz uczepiła się tej myśli a w umyśle Natalii jakieś światełko błyskać zaczęło. Pokochała ona kraj i ludzi do których przez matkę nawpół należała—chciałaby poznać bliżej tę drugą ojczyznę, idealizowała sobie potrosze, poczciwych „bratuszków“; podniosła też do zenitu cnoty słowian, wytwarzając przesadne pojęcie o barbarzyństwie turków. Poetyczne marzenia Gaja i Kollara, z którymi Draszkowicz ją zapoznał, wytwarzały dla niej całkiem oryginalny ideał polityczny. Lecz, przed tem wszystkiem stało wspomnienie Czujskiego; ona czuła się winną, jej więc obowiązkiem było teraz naprawić słabość chwilową i ocucić się z martwoty.

Tak więc, stanęło na tem, iż pani Natalia z matką, odbędą wkrótce wycieczkę na Wschód—Draszkowicz zaś wyjeżdżał tam niezwłocznie.

Koniec tomu pierwszego.